BŁAWATEK

KALENDARZYK DAMSKI

na rok 1899

LWÓW

BŁAWATEK

KALENDARZYK DAMSKI

NA ROK

1899

We Lwowie

NAKŁADEM DRUKARNI NARODOWEJ
Stanisław Maniecki i Spółka.

. Kalendarz ś...

Suche ...

W Środę, Piątek i Sobotę 22, 24 ...
W Środę, Piątek i Sobotę 24, 26 i 27 Maja
W Środę, Piątek i Sobotę 20, 22 i 23 Września
W Środę, Piątek i Sobotę 20, 22 i 23 Grudnia.

Wigilie z postem ścisłym.

Do Zielonych Świątek, — do śś. Apostołów Piotra i Pawła, — do Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny, — do Wszystkich Świętych, — do Niepokalanego Poczęcia N. Maryi Panny, — do Bożego Narodzenia.

Wigilia przypadająca w Niedzielę, bywa przenoszoną na Sobotę poprzedzającą; — jeśli zaś uroczystość Bożego Narodzenia przypada w Piątek lub Sobotę, w ten dzień postu nie ma.

Dnie Krzyżowe.

W Poniedziałek, Wtorek i Środę przed Wniebowstąpieniem Pańskiem, t. j. 8, 9 i 10 Maja.

Święta ruchome.

Popielec	15 Lutego
Wielkanoc	2 Kwietnia
Wniebowstąpienie Pańskie . .	11 Maja
Zielone Święta	21 Maja
Boże Ciało	1 Czerwca

Święta ruchome.

według kalendarza grecko-katolickiego.

Nedila Miasopustna . . .	21 Fewr.
Nedila Syropostna	28 Fewr.
Woskresenyje Chrystowoje .	18 Apriłya
Woznesenyje Hospoda . . .	27 Maja
Soszcstwie św. Ducha . . .	6 Junija.

Posty ruskie nakazanc.

Post Wełyki, od Nedili syropostnoj do Woskres.

Post pered śś. Petrom i Pawłom, od 1. Nedili po Soszestwi św. Ducha do 29. Junija, czerez 4 nedili.

Post do Uspenyja Bohorodycy Diwy, od 2 do 15. Awhusta.

Post pered Rożdestwom Chrystowym, od 15 Nowembrja aż do 25 Dekemwria.

Kalendarz astronomiczny.

Rok ten jest pod względem astronomicznym i fizycznym rokiem zwyczajnym, mającym dni 365.

Dzieli sie na cztery pory astronomiczne, t. j. na wiosnę, lato, jesień i zimę, z których zaczyna się:

Wiosna dnia 20 Marca o godzinie 9. wieczór w chwili wstępu słońca w znak Barana, tu następuje wiosenne zrównanie dnia z nocą.

Lato dnia 21 Czerwca o godzinie 5 wieczór w chwili wstępu słońca w znak Raka, tu następuje letnie przesilenie dnia z nocą.

Jesień dnia 23 Września o godzinie 2. rano w chwili wstępu słońca w znak Wagi, tu następuje jesienne zrównanie dnia z nocą.

Zima dnia 22. Grudnia o godzinie 2. rano w chwili wstępu słońca w znak Koziorożca, tu następuje zimowe przesilenie dnia z nocą.

Wedle długoletnich doświadczeń rok ten należący pod panowanie planety Wenus będzie w ogólności więcej wilgotny, także ciepły, a nawet gorący. Prawdopodobnie wiosna będzie wilgotna. Lato ciepłe, ku końcu upały. Jesień z początku piękna i ciepła, potem zimna. Zima z początku sucha, potem aż do końca wilgotna. — Urodzaje średnie, dużo słomy, ziarna mało.

Panującym planetą, w roku 1899 jest WENUS.

Oficiał urzędu podatk.

STYCZEŃ ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak WODNIKA dnia 21.

Dnie tygod.	Święta rzymsko-katol.	Święta grecko-katol.	Imiona słowiańskie
1 N	Nowy rok	20 N. pred Roż.	Mieczysław
2 P	Makarego	21 Julyanny m.	Strzeżysław
3 W	Genowefy p.	22 Anastazyi	Włastymił
4 Ś	Tytusa bisk.	23 10 m. w Kreti	Dobromir
5 C	Telesfora ☾	24 Jewhenyi †	Włastybór
6 P	Trzech Króli	25 Roż. Chrys.	Bojomir
7 S	Walentego	26 Sob P. Boh.	Świętosław
8 N	A. 1 po 3. Kr.	27 Stefana m	Mścisław
9 P	Marcyanny	28 2000 mucz	Władymir
10 W	Pawła pustel.	29 SS. Młaďań.	Dobrosław
11 Ś	Higiniusza	30 Anysyi m.	Krzesimir
12 C	Honoraty ☺	31 Mełanyi R.	Czesław
13 P	Hilarego b.	1 Henwar 1899	Bogomir
14 S	Feliksa z Noli	2 Sylwestra	Radogost
15 N	A. 2. *Im. Jez.*	3 N. pred Boh.	Domosław
16 P	Marcelego p.	4 Sob. 70 Ap.	Włodzimierz
17 W	Antoniego p.	5 Fteopemta †	Rościsław
18 Ś	Pryski p. ☽	6 Boh. Hospod.	Jaropełk
19 C	Ferdynanda	7 Sob. ś. Joana	Ratymir
20 P	Fab. i Sebast.	8 Hryhor. pr.	Sebastyan
21 S	Agnieszki	9 Połyjewkta	Jarosław
22 N	A. 3 po 3 Król.	10 N. 1 po Boh.	Witysław
23 P	*Zaślub. NPM.*	11 Fteodoz. pr.	Wrócisław
24 W	Tymoteusza	12 Tatyany m	Chwalibóg
25 Ś	Naw. ś. Pawła	13 Ermyła i Str.	Miłosz
26 C	Polikarpa	14 SS. O. w Synai	Skarbimir
27 P	Jana Chryz. ☺	15 Pawła Ftew.	Przybysław
28 S	Karola Wielk.	16 Petra Wer.	Radomir
29 N	A. Starozap.	17 N. 2 po Boh.	Zdzisław
30 P	Martyny p.	18 Aftanaz. pr	Dobrogniew
31 W	Piotra Nolaski	19 Makarya	Spitogniew

NOTATKI

1/1 ~~800~~

Długi do p. Bnowain	1000	
Judzie	1000	Koron
Staś	2050	3648K
Miaropiski	1300	1800K
Adaś	1050	1300
po Borsku	480	480
po dzieci	120	400
Jodt.	150	628
	7150	

	7	7		
Bank	30	29	18	
Kasa	24	22	1140	55
Lasinst	8	8	910	22
Bankmyer	12	12	2050	77
	81 tysięcy	78		

pieksa 6 fonta i 3/4 daje do skub

NOTATKI

Bank krzowczen	1800	900
Kasa Osz[illegible]	1624	800
Bauminger	1000	
Lasiuk[illegible] i Jedr[illegible]	610	
	2314 f 96	1408
Podatek roczn.	2162	1366 f
	165	17
Magistrat detto	151	
Gaz i Stróż (kanały)	280	
Weksle	1050	
Utrzymanie kamienic	1000	
Asekuracya	45 f	60
Podatek osobowy	9	20
	9731 f	92
	9896 f	

Dochodu 9349 f od 1/10 898 do 1/10 899

LUTY ma dni 28.

Słońce wstępuje w znak RYBY dnia 21.

Dnie tygod.		Święta rzymsko-katol.	Święta grecko-katol.	Imiona słowiańskie
1	Ś	Ignacego b.	20 Ewfymija	Żegota
2	C	NPM.. Gromn.	21 Maks. ep.	Miłosław
3	P	Błażeja b. ☾	22 Tymofteja	Błażej
4	S	Weroniki	23 Kłymenta m.	Witosław
5	N	A. Miesopost.	24 N. 3 po Boh	Dobrochna
6	P	Doroty p.	25 Hryhorya	Bohdan
7	W	Romualda	26 Ksenofonta	Sulisław bł.
8	Ś	Jana z Malty	27 Joana Chryz.	Gniewomir
9	C	Apolonii	28 Jefremia	Gorysław
10	P	Scholastyki 🌑	29 Ihnatyja m.	Tomił bł.
11	S	Lucyusza	30 Trech Świat	Świętochna
12	N	A. Zapustna	31 N. 4 po Boh.	Radzyn św.
13	P	Katarzyny R.	1 Fewr. Tryf.	Jordan św.
14	W	Walentego	2 Strit. Hosp.	Niemir
15	Ś	*Popielec* †	3 Sym. i Anny	Szczesław
16	C	Julianny p.	4 Izydora pr.	Milada bł.
17	P	Konstancyi ☽	5 Ahaftyi m.	Świetorad
18	S	Flawiana m.	6 Wukoła ep.	Wielosław
19	N	A. 1. Wstępna	7 N. o Myt i F.	Czcisław
20	P	Nicefora m.	8 Fteodora m.	Ludomił
21	W	Eleonory	9 Nykyfora	Onosław
22	Ś	*Such.* Piot. †	10 Charłampyja	Wrócisław
23	C	Romany p.	11 Własya m.	Przedzisław
24	P	Macieja ap. †	12 Mełetya ar.	Bogusz
25	S	Anastazyi 🌕 †	13 Martyniana	Sławobój
26	N	A. 2 Sucha	14 N. o obł. Syni	Mirosław
27	P	Aleksandra	15 Onysyma	Wiarosław
28	W	Romana op.	16 Pamfyła m.	Chwalibóg

MARZEC ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak BARANA dnia 20.

Dnie tygod.		Święta rzymsko-katol.	Święta grecko-katol.	Imiona słowiańskie
1	Ś	Albina bisk.	17 Fteodora m.	Budzisław
2	C	Symplicyusza	18 Lwa p. rym.	Radosław
3	P	Kunegundy	19 Archyppa	Sławomił
4	S	Kazimierza	20 Łeona ep.	Kazimierz
5	N	A 3 Głucha ☾	21 N. Miasop.	Pakosław
6	P	Kolety panny	22 SS. M w E.	Woisław
7	W	Tomasza z Ak.	23 Połykarpa	Bogowit
8	Ś	Jana Boż.	24 O. h ś Joana	Miłogost
9	C	Franciszki	25 Tarasia arch	Mścisław
10	P	40 Męczen.	26 Porfyrya	Bożesław
11	S	Konstant. 🌑	27 Prokopia	Ludosław
12	N	A. 4 Środop.	28 N Syropost.	Swatosz
13	P	Krystyny p.	1 Marta. Jew.	Niecisław
14	W	Matyldy p.	2 Fteodota	Bożena
15	Ś	Longina m.	3 Ewtropia	Długomir
16	C	Lubina m.	4 Harasyma p	Ojcosław
17	P	Gertrudy p.	5 Konona m.	Zbigniew
18	S	Edwarda król.	6 SS. 42 mucz.	Boguchwał
19	N	A 5 Czarna ☽	7 N 1 Posta	Bohdan
20	P	Eufemii i Kl	8 Fteofyłakta	Polemir
21	W	Benedykta	9 SS 40 mucz	Lubomir
22	Ś	Oktawiana	10 Kodrata m	Godysław
23	C	Wiktora m	11 Sofronya pr.	Zbisław
24	P	*Boleści NPM.*	12 Fteofana	Lubomir
25	S	Zwiast. NPM	13 Nykyfora	Więczysław
26	N	A. 6 Kwietnia	14 N 2 Posta	Swietobój
27	P	Ruperta 🌕	15 Ahapia m.	Bohdar bł.
28	W	Sykstusa	16 Sawyna	Krzesław
29	Ś	Cyryla dyak.	17 Ałeksia pr	Czcimisław
30	C	*Wiecz. Pańska*	18 Kyryłła ar.	Szukosław
31	P	*Wielki Piątek*	19 Chryzanfta	Dobromir

NOTATKI

Kasia Łowczowska
Bieńczyce p. Mogiła

metr listwy 4c Ausgrypso ni...
Dro...

Dach 43
...rynienka 11
...bne napraw 6
naprawy ryn 1-30
61f 30

Dachy ryny 20
Od 2 zlewów 10
Papa 32
Klej - 1 20
63f 20

Od 1/9 do 6/10 1900r 124f 50c.

Waniek wybrał

NOTATKI

Stasiowi miała w ciągu służby
telegramów 153
listów 31
biletów 22
[illegible] [illegible]

7a

24 fl. zapłaciłam za p. Lipowum

W Styczniu miałam dochodu 115 fl. 25
W Lutym — 570
W Marcu — 55 fl. 95
W Kwietniu — 1154.50
W Maju
W Czerwcu

KWIECIEŃ ma dni 30.

Słońce wstępuje w znak BYKA dnia 20.

Dnia tygod.	Święta rzymsko-katol.	Święta grecko-katol.	Imiona słowiańskie
1 S	*Wielka Sobota*	20 Prep Otec.	Zbigniew
2 N	A. Wielkanoc	21 N. 3 Posta	Sudomir
3 P	Pon. Wielk. ©	22 Wasylyja	Włatysław
4 W	Izydora b.	23 Nykona pr.	Mnożysław
5 Ś	Wincen. Fer.	24 Zacharya pr.	Bożywój bł.
6 C	Celestyna	25 Bł. P. Boh.	Świetobór
7 P	Hermana w.	26 Sob. Hawr.	Przesław
8 S	Dyonizego	27 Matrony S	Radosław
9 N	A. 1 Biała	28 N. 4 Posta	Dobrosław
10 P	Ezechiela	29 Marka i Kir.	Gorysław
11 W	Leona pap.	30 Joana Łyst.	Jaromir
12 Ś	Juliusza pap.	31 Ipatya ep.	Lubosław
13 C	Justyna m.	1 Apr. Mar. E.	Drzemysław
14 P	Waleryana	2 Tyta	Myślimir
15 S	Anastazyi	3 Nykity Ft.	Wacław bł.
16 N	A. 2 po Wielk.	4 N. 5 Posta	Nosisław
17 P	Rudolfa bisk.	5 Fteoduła	Krasisław
18 W	Apoloniusza ☽	6 Ewtychija	Gościsław
19 Ś	Emmy wdowy	7 Heorhya M.	Włodzimierz
20 C	Agnieszki	8 Irydyona ap.	Czesław m.
21 P	Anzelma b.	9 Jewpsychya	Drogomił
22 S	Sotera i Kaja	10 Terentya	Strzeżymir
23 N	A. 3 po Wielk.	11 N. 6 Posta	Wojciech św.
24 P	Jerzego m.	12 Wasylyja	Jerzy św.
25 W	Marka ew.	13 Artemona	Jarosław
26 Ś	Kleta i Marcel.	14 Martyna	Spitymir
27 C	Peregryna	15 Czetwer weł.	Bogufał
28 P	Witalisa	16 Piatok weł.	Żywisław
29 S	Piotra m.	17 Subota weł.	Sogosławt
30 N	A. 4 po Wielk.	18 Wos. Hosp.	Chwalisław

M A J ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak BLIŹNIĄT dnia 20.

Dnie tygod.	Święta rzymsko-katol.	Święta grecko-katol.	Imiona słowiańskie
1 P	Filipa i Jakóba	19 Poned Wos	Lubomir
2 W	Zygmunta ☾	20 Wtor. Wos	Witymir
3 Ś	*Znalezienie* s. †	21 Januaria	Świetosław
4 C	Floryana	22 Fteodora S.	Wieczysław
5 P	Pius V. pap.	23 Heorhya m.	Chocisław
6 S	Jana w oleju	24 Sawwy m	Gościwit bł.
7 N	A. 5 po Wielk.	25 N. 1 Antyp.	Ludomił
8 P	Stanisł } *Dnie*	26 Wasyłyja	Stanisław ś.
9 W	Grz. ● } *krzyż.*	27 Symeona	Bożerad bł.
10 Ś	Izydora }	28 Jasona ar.	Cierpimir
11 C	Wnieb. Pańskie	29 Dewiat m	Ludowit
12 P	Pankracego	30 Jakowa ap.	Wszemił
13 S	Serwacego	1 Maja. Jermyi	Cichosław
14 N	A. 6 po Wielk.	2 N. 2 Myron	Dobiesław
15 P	Zofii i 3 córek	3 Tymofteja	Strzeżysław
16 W	Jana Nepom.	4 Pełahyi m.	Wieńczysław
17 Ś	Paschalisa ☽	5 Iryny mucz,	Sławomir
18 C	Feliksa spow.	6 Jowa mnoh.	Wszesław
19 P	Piotra Celest	7 Znam. cz. kr.	Krzesomyśl
20 S	Bernarda S. †	8 Joana Boh	Bronimir
21 N	Zielone Świat.	9 N. 3 Rozsł.	Przesław
22 P	Pon. Ziel Św.	10 Symeona	Wisław bł.
23 W	Dezyderyusza	11 Mokija	Budziwój
24 Ś	*Such.* Joanny †	12 Jepyfanya e	Tomir
25 C	Urbana ○	13 Hłykeryi m.	Borysław
26 P	Filipa Ner. †	14 Izydora m.	Wiecymił
27 S	Jana pap. †	15 Pachomyja	Rusław
28 N	A. 1 Św. Troj	16 N 4 Samar.	Jaromir
29 P	Maksyma w.	17 Andronika	Bogusław
30 W	Feliksa pap.	18 Fteodota	Sulimir
31 Ś	Petroneli p.	19 Patrykya	Bożesław

NOTATKI

Malawski na ulicy Czarno-

wiejskiej № 5 – odebrałam

Korabowski plac Matejki

№ 10. – nie

Radomski ulica Blich №

Świątkowa ulica Tomasza №

Lipińska odebrała 6/1 3 901 r.

NOTATKI

Podatki w 1898r.

ze żwirny	284 - 71	z Karmelick	228 - 37
"	298 / 43	"	252 - 61
"	297 97	"	259 - 60
	292 . 82		247 - 48
	1173 / 93		988 / 26

Magistrat za 1898 rok 150 / 37

za Kanały zapłaciłem 45 / z obydwu Kamienic

Podatki w 1899 r.

ze żwirny	358 - 8	z Karmelicki	223 - 82
"	351 - 85	z Karmelicki	226 - 94
"	352 - 50	z Karmelicki	227 - 50
"	339 - 38½	z Karmelicki	234 - 39
	1401 / 81½		912 / 65

Magistrat za 1899 rok 156 / 94

za Kanały 33 / 50

2314 / 46

CZERWIEC ma dni 30.

Słońce wstępuje w znak RAKA dnia 21.

Dnie tygod.	Święta rzymsko-katol.	Święta grecko-katol.	Imiona słowiańskie
1 C	Boże Ciało ☾	20 Ftałałeja	Swietopełk
2 P	Klotyldy król.	21 Konstantyna	Ratysław
3 S	Erazma b.	22 Wasyłyska	Branmił
4 N	A. 2 po Świąt.	23 N 5 Slipor.	Litomił
5 P	Bonifacego	24 Symeona	Dobromir
6 W	Norberta b.	25 Ob. hł. ś. J.	Cichomir
7 S	Roberta b.	26 Karpa ap.	Wisław bł.
8 C	Medarda b. ☺	27 Wozn, Hos.	Wyszosław
9 P	*Serce Jezusa*	28 Nykyty pr.	Sławój
10 S	Małgorzaty	29 Fteodozyi m.	Bogumił
11 N	A. 3 po Świąt.	30 N. 6 S. S. Ot.	Radomił
12 P	Onufrego w.	31 Jeremia ap.	Wyszomir
13 W	Antoniego	1 Junyi. Just.	Chotymir
14 S	Bazylego b.	2 Nykyfora	Przedzimir
15 C	Wita i Modesta	3 Łukyłyana	Witołd
16 P	Fran. Regis ☽	4 Mytrofana	Budzimir
17 S	Adolfa bisk.	5 Subota zad.	Drogomysł
18 N	A. 4 po Świąt.	6 S. ś. Ducha	Długosław
19 P	Gerw. i Protaz.	7 Pon. Soszest.	Borzysław
20 W	Sylweryusza	8 Fteodota St.	Bogna św.
21 S	Alojzego Gon.	9 Kyryła ar.	Domysław
22 C	Paulina bisk.	10 Tymofteja m.	Broniwój
23 P	Zenona b. ☺	11 Warftołom.	Wanda
24 S	Jana Chrzcic.	12 Onufrya pr.	Janisław
25 N	A. 5 po Świąt.	13 N. 1. Ws. SS	Włastymił
26 P	Jana i Pawła	14 Ełyseja	Rozmysław
27 W	Władysława	15 Ammosa pr.	Władysław
28 S	Leona II. p. †	16 Tychona	Zbroisław
29 C	Piotra i Pawła	17 Manuiła m.	Wyszomir
30 P	Wsp. ś. P. ☾	18 Łeontya m	Cichosław

LIPIEC ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak LWA dnia 23.

Dnie tygod.	Święta rzymsko-katol.	Święta grecko-katol.	Imiona słowiańskie
1 S	Teobalda op.	19 Judy apost.	Bogusław
2 N	A. 6 po Świat.	20 N. 2 T. Chr.	Ojcomił
3 P	Heliodora	21 Jułyana m.	Miłosław
4 W	Józefa Kalas.	22 Jewsewyja	Welisław
5 Ś	Filomeny p.	23 Ahrypyny	Prokop
6 C	Izajasza pr.	24 Róż. ś. Joana	Izasław
7 P	Pulcheryi 🌕	25 Fewronyi	Krasnorod
8 S	Elżbiety król.	26 Dawyda F.	Chwalimir
9 N	A. 7 po Świat.	27 N. 3 po Sosz.	Strachota
10 P	Amalii panny	28 Kyra i J. †	Radziwój
11 W	Pelagii m.	29 Petra i Paw.	Olga św.
12 Ś	Henryka	30 Sob. śś. 12 A.	Tolimir bł.
13 C	Małgorzaty	1 Julyi. K. i D.	Radomił
14 P	Bonawentury	2 Poł. R. Boh.	Dobrogost
15 S	Rozesł. Ap.	3 Jakynfta m.	Radosław
16 N	A. 8 po Św. ☽	4 N. 4 po Sosz.	Dzierżysław
17 P	Aleksego	5 Aftanazya	Dzierżykraj
18 W	Szym. z Lipnic.	6 Syzona Weł.	Unisław
19 Ś	Winc. a Pauli	7 Tomy prep.	Wodzisław
20 C	Czesława i Kas.	8 Prokopija m.	Czesław
21 P	Praksedy	9 Pankratya	Stosław i D.
22 S	Maryi i Mag. 🌑	10 S. S. 45 M.	Bolesław
23 N	A. 9 po Świat.	11 N. 5 po. Sos.	Zelisław
24 P	Krystyny	12 Prokla	Lubomir
25 W	Jakóba apost.	13 Sob. s. Hawr.	Sławosz
26 Ś	Anny m. Maryi	14 Akyły apost.	Mirosław
27 C	Natalii panny	15 Kyryka	Wszebor
28 P	Innocentego	16 Aftynohena	Świętomir
29 S	Marty p. ☾	17 Martyny m.	Cierpisław
30 N	A. 10 po Św.	18 N. 6 po Sosz	Zdobysław
31 P	Ignacego L.	19 Makryny	Ludomir

NOTATKI

Wawrzyniec Maciejów
w Kalwaryi mas Karim
od Łuki

Żołnierz wstąpił Józef
Jakub Lodutka 1900 r.

I raz z Krościenka z Karwad 464

II III IV Stas zaplacił (507)

379

348

NOTATKI

5/8 Apolonia Dziobka
Ofl. à conto księżka

Po Bogumskiej Marcyewsky
znajomy
Grodzińskiej
przy Magistracie

1/2

Rozalia Majetka mąż
Andrzej piekarz u p. Wątorsky
na Mikołajskiej zbieg kamienica
brat na Zwierzyńcu

SIERPIEŃ ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak PANNY dnia 23.

Dnie tygod	Święta rzymsko-katol.	Święta grecko-katol.	Imiona słowiańskie
1 W	Piotra w Ok.	20 Iłyi pror	Bolisław
2 Ś	*NPM. Aniel.*	21 Symeona	Świętosław
3 C	Znal. ś. Szczep.	22 Maryi Mah	Letosław
4 P	Dominika w.	23 Trofyma	Ostromir bł.
5 S	*NPM. Śnieżn.*	24 Chrystyny	Stanisław ś.
6 N	A. 11 po Św. 🌑	25 N. 7 po Sos.	Chlebosław
7 P	Kajetana	26 Jermołoja	Olch św.
8 W	Cyryaka m.	27 Pantałejm.	Niezamyśl
9 S	Romana i Sek.	28 Prohora i N	Bor. i Chleb.
10 C	Wawrzyńca	29 Kałynyka	Wawrzyniec
11 P	Zuzanny p.	30 Syły ap.	Włodzimir
12 S	Klary p.	31 Jewdokima	Sława bł
13 N	A. 12 po Sw.	1 Awh. N 8 p. S.	Rosław
14 P	Euzeb. † ☽	2 Stefana	Dobrowój
15 W	Wnieb. NPM.	3 Izakija	Jacław św.
16 S	Rocha w.	4 7 Otr. w Efe	Domorad
17 C	Liberata opata	5 Ewsychnia	Miron św.
18 P	Heleny ces.	6 Preobr. Hos.	Bronisław
19 S	Benigny p.	7 Dometya pr	Bolesław
20 N	A. 13 po Św. 🌕	8 N. 9 po S.	Sobiesław
21 P	Joanny Frem.	9 Mafteja ap.	Kazimira
22 W	Filiberta op.	10 Ławrentyja	Radomił
23 Ś	Filipa bisk.	11 Jewpła	Cichomił
24 C	Bartłomieja	12 Fo ya mucz	Cieszymir
25 P	Ludwika kr.	13 Maksyma p.	Namysław
26 S	Zefiryny p.	14 Mycheja p.	Włastymił
27 N	A. 14 po Świąt.	15 Uspenje Bo.	Przedzisław
28 P	Augustyna ☾	16 Nerukoł Ob.	Wyszomir
29 W	Ściecie ś Jana	17 Myrona m.	Racibor bł.
30 Ś	Róży z Limy	18 Flora i Ław.	Szczesny ś.
31 C	Rajmunda	19 Andreja m.	Świętosław

WRZESIEŃ ma dni 30.

Słońce wstępuje w znak WAGI dnia 22.

Dnie tygod.	Święta rzymsko katol.	Święta grecko katol	Imiona słowiańskie
1 P	Idziego opata	20 Samuiła pr.	Dzierzysław
2 S	Justa biskupa	21 Ftadeja ap.	Czcibóg
3 N	A. 15. po Św.	22 N. 11 po So.	Przesław ś
4 P	Rozalii panny	23 Łuppa m.	Rościsław
5 W	Wawrzyńca 🌑	24 Ewtychia	Wodzisław
6 Ś	Zacharyasza	25 Warftołom.	Drogowit
7 C	Reginy p.	26 Adryana	Domosława
8 P	Narodz. NPM.	27 Pymona	Radosława
9 S	Gorgoniusza	28 Mojseja	Sobiebór
10 N	A. 16. po Św.	29 N. 12 po S.	Władybój
11 P	Jacka i Prota	30 Ałeksandra	Iścisław
12 W	Gwidona ☽	31 P. poj. P. B	Radzimir
13 S	Tobiasza w.	1 **Sept.** Syme	Chronisław
14 C	*Podwyż. ś.* †	2 Mamanta m.	Ziemomysł
15 P	Nikodema	3 Anftyma m	Budzimił
16 S	Ludmili p.	4 Wawyły m	Sędzisław
17 N	A. 17 po Św.	5 N. 13 po S.	Drogosław
18 P	Tomasza z W	6 Wos. cz M	Dobrowit
19 W	Januaryusza 🌕	7 Sosanta	Krzepimir
20 Ś	*Such.* Eust. †	8 Rożd. Boh.	Myślisław
21 C	Mateusza	9 Joakima	Bożydar
22 P	Maurycego †	10 Mynodor. m	Zelimir
23 S	Tekli p †	11 Ftcodory m	Bogusław
24 N	A. 18 po Św.	12 N 14 po So.	Homir
25 P	Kleofasa m.	13 Kornyła S.	Świętopełk
26 W	Cypryana ☾	14 Wozn. cz. K.	Ładysław bł.
27 S	Kosmy i Dam.	15 Nykity mu.	Damian
28 C	Wacława kr.	16 Ewfemyi	Wacław św.
29 P	Michała arch.	17 Sofii mucz.	Dadzibóg
30 S	Hieronima	18 Ewmenya	Imisław

NOTATKI

Weksle opłacałem w 1900 r. i 9...

114 - 15 [illegible] 22/1 64 - 25
69 - 80 Majewski 3/2 46 -
124 - 40 [illegible] 14/3 86 - 56
41 - 73 Hłaszkowski 20 46 -
63 - 30 [illegible] 3 120 - 33
47 - 90 W Kasa [illegible] 25/4 00 - 50
43
18
122 - 50
62 - 75
80
46 - 80
62
106 - 20
22
20 - 10

1076 - 83

NOTATKI

dochód rocznie od 1/10 898 do 1/10 899

z Warmelickiej 3908

ze Zwierzyniecki[illegible] 5386

razem — 9293 f

dochod roczny od 1/10 899 do 1/10 900

z Warmelickiej 3853 f. 75

ze Zwierzynieckiej 5338 f

razem 9191 f. —

PAŹDZIERNIK ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak NIEDŹWIADKA dnia 21.

Dnie tygod.	Święta rzymsko-katol	Święta grecko-katol.	Imiona słowiańskie
1 N	A. 19 NPM R.	19 N 15 po S.	Znatysław
2 P	Leodegara	20 Eustana	Stanimir
3 W	Kandyda m.	21 Kodrata	Sieman
4 S	Franz. Ser. 🌕	22 Foky mucz	Bratysław
5 C	Placyda m.	23 Zacz. św. J.	Zasław
6 P	Brunona w.	24 Ftekły m.	Bronisław
7 S	Justyny p.	25 Ewfrozyny	Rosław
8 N	A. 20 po Św.	26 N. 16 po S	Wojsław
9 P	Winc. Kadł.	27 Kałystrata	Dogomost.
10 W	Franc. Borg	28 Charytona	Tomił
11 S	Placydy p	29 Kyriaka	Dobromił
12 C	Maksymil. ☽	30 Hryhorya ep.	Grzmisław
13 P	Edwarda	1 Okt. P P B.	Ziemisław
14 S	Kaliksta pap	2 Kypryana	Dzierżymir
15 N	A. 21 po Św	3 N 17 po S.	Długosław
16 P	Gawła apost.	4 Jerofteja	Radzisław
17 W	Łucyny	5 Charytyny	Zastysław
18 S	Łukasza 🌑	6 Ftomy ap	Bratumił
19 C	Piotra z Alk.	7 Serhya m	Ziemowit
20 P	Felicyana b	8 Pełahii m.	Budzisław
21 S	Urszuli p	9 Jakowa ap	Daromił
22 N	A. 22 po Św.	10 N 18 po S.	Przebysław
23 P	Jana Kapistr.	11 Fyłypa ap.	Włastymir
24 W	Rafała arch	12 Prowa m	Siemisław
25 S	Jana Kantego	13 Karpa m.	Samomysł
26 C	Ewarysta ☾	14 Nazarya	Lutosław
27 P	Sabiny m.	15 Ewfymija	Witomił
28 S	Szym i Judy	16 Łonhina	Władybóg
29 N	A. 23 po Św.	17 N 19 po S	Damelit
30 P	Klaudyusza	18 Łuki apost.	Przemysław
31 W	Wolfganga †	19 Joiła pror.	Godzimir

LISTOPAD ma dni 30.

Słońce wstępuje w znak STRZELCA dnia 20.

Dnie tygod.	Święta rzymsko-katol.	Święta grecko-katol	Imiona słowiańskie
1 S	Wszyst Świet	20 Artemija	Warcisław
2 C	*Dzień zad.*	21 Iłaryona	Witymir
3 P	Huberta b.	22 Awerkyja	Chwalisław
4 S	Karola Borom.	23 Jakowa ap.	Mściwój
5 N	A 24 po Św.	24 N. 20 po S	Sławomir bł.
6 P	Leonarda	25 Markyana	Wszewład
7 W	Herkulana	26 Dymetrya	Żytomir
8 S	4 Koronatów	27 Nestora m	Sedziwój
9 C	Teodora m.	28 Terentyja m.	Bogodar
10 P	Andrzeja ☽	29 Anastazyi	Ludomir
11 S	Marcina b.	30 Zynowija m.	Spitosław
12 N	A 25 Op Mar.	31 N. 21 po S.	Nowosław
13 P	Eugeniusza	1 **Noj**. K i D.	Wszerad
14 W	Serafina w.	2 Akindyna	Wodzimir
15 S	Leopolda w.	3 Akepsymy	Przybysław
16 C	Otmara op.	4 Joannyka	Radomir
17 P	Salomei p.	5 Hałakty. m	Zbisław
18 S	Ottona opata	6 Pawła arch.	Stanisław K.
19 N	A 26 po Świat	7 N 22 po S.	Drogomir
20 P	Feliksa de Wal.	8 Sob ś. Mych.	Sedzimir
21 W	*Ofiar. NPM.*	9 Onysyfora	Sław
22 S	Cecylii panny	10 Erasta ap,	Wszemił
23 C	Klemensa p.	11 Myny mucz	Miływój
24 P	Jana od Krzy	12 Joana Mył.	Dorosław
25 S	Katarzyny ☾	13 Joanna Złot.	Chwalimir
26 N	A. 27 po Świat.	14 N. 23 po S.	Lechosław
27 P	Waler i Wirg.	15 Hurya i Sa.	Tomir
28 W	Krescentego	16 Mafteja Ap.	Gościsław
29 S	Saturnina m.	17 Hryh. Neok	Przemyśl
30 C	Andrzeja ap.	18 Platona m.	Ludosław

NOTATKI

22 Maja Jadzia G. i Łasiński

6 Lutego pod 80 f wysłane

12 Lutego pod 70 f

Książeczka „Nie zapomnij" – lub Korespondencye" drukowana w Ostrowie w W. K. Poznańskim nakładem Lutzebra.

20/3 900 wystawic 1200 f Bank Kreyowy Miecerzyński
26/3 1901 na 1000 f wystawiony
22/5 Joel Bauminger

NOTATKI

Karmelicki — Robotnicy … w 1900 roku

Wydałam oproczy…

Stróż	7 3	1022	84 w S…
Tapiczka	5 3	540	75 w …
Jeziorski	3	575	90 w M…
Gorzycko	8 2	1032	81 w …
Surowiecki	4 3	657	65 w M…
Łakniewsky	4	248	27 w Cz…
Biernacky	6 3	1382	60 w L…
Bułatowicz	6 4	455	49 w …
Dr Oberst Wendt	5 4	3131	25 w W…
…	4		
Majewska	1	razem 10029	54
Radca …	6		
natl pietra	7	795	do …
p Stolfa	1	712	88 Listo…
Jelonek	6 4	682	73 w …
Lipińska	8 4		
Nowak	6 3	8820	22
Biernacki	1		
Stangret	1		
…	2		

GRUDZIEŃ ma dni 31.

Słońce wstępuje w znak KOZIOROŻCA dnia 20.

Dnie tygod.		Święta rzymsko-katol.	Święta grecko-katol.	Imiona słowiańskie
1	P	Eligiusza b.	19 Awdyja pr	Samosław
2	S	Bibianny p.	20 Hryhor. O.	Szulisław
3	N	A. 1 Adw. 🌕	21 N. 24 W. B.	Wiślimir
4	P	Barbary p.	22 Fyłymona	Lubomił
5	W	Sabby opata	23 Amfyłyłok.	Spitosław
6	S	Mikołaja	24 Ekateryny	Jarogniew
7	C	Ambrożego	25 Kłymenta p.	Ludomyśl
8	P	Niep. P. NPM.	26 Ałyppa pr.	Boguwola
9	S	Leokadyi ☽	27 Jakowa m.	Wesław
10	N	A. 2 Adwent	28 N. 25 po S.	Radzisława
11	P	Damazego	29 Paramona	Wojmir
12	W	Aleksandra	30 Andr. Apost.	Wolidar
13	S	Łucyi i Otylii	1 Dekem Na.	Władysław
14	C	Nikazego	2 Awakuma	Sławiflor
15	P	Fortunata	3 Sofonia	Wolimir
16	S	Adelajdy ces.	4 Warwary m.	Zdosław
17	N	A. 3 Adw. 🌑	5 N. 26 po S.	Żyrosław
18	P	Gracyana m.	6 Nykołaja ep.	Wszemir
19	W	Nemezyusza	7 Amwrozya	Mścigniew
20	S	*Such.* Teof. †	8 Pałapia	Bogumił
21	C	Tomasza	9 Zacz. Boh.	Tomisław
22	P	Zenona m. †	10 Myny i Erm	Drogomir
23	S	Wiktoryi p. †	11 Danyiła pr.	Sławomir
24	N	A 4 Adwent	12 N 27 po S.	Godysław
25	P	Boże Nar ☾	13 Ewstratia	Grzmisław
26	W	Szczepana m	14 Ftyrsa m.	Wróciwój
27	S	Jana ewang	15 Ełewteryja	Radomyśl
28	C	Młodzianków	16 Ahhea pror.	Godzisław
29	P	Tomasza b.	17 Danyiła św.	Gosław bł.
30	S	Dawida króla	18 Sewastyana	Ludomił
31	N	A. po Boż. N.	19 N. 28 po S.	Lassota

Zaćmienia przypadające w roku 1899.

W roku 1899 przypadają trzy zaćmienia słońca i dwa zaćmienia księżyca, z których drugie zaćmienie słońca i drugie zaćmienie księżyca w naszych okolicach widzialne będą.

I. Zaćmienie słońca dnia 11. Stycznia, u nas nie będzie widzialne.

II. Zaćmienie słońca dnia 8. Czerwca, zaczyna się o godzinie 6 minut 14 rano, a kończy się o godzinie 10. — Widzialne będzie w tej połowie Europy, która zwróconą jest ku północnemu zachodowi, w północnej Azyi i w najwyżej położonej części Ameryki północnej.

III. Zaćmienie księżyca dnia 26. Czerwca, u nas nie będzie widzialne.

IV. Zaćmienie słońca dnia 3. Grudnia, u nas nie będzie widzialne.

V. Zaćmienie księżyca dnia 17. Grudnia, zaczyna się o godzinie 0 m. 17 rano, a kończy się o godzinie 4 m. 41. — Widzialne będzie w Azyi, z wyjątkiem wschodnich okolic nadbrzeżnych, na indyjskim oceanie, w Europie i Afryce, na atlantyckim oceanie i w Ameryce.

Tablica świąt ruchomych:

ROK:	POPIELEC:	WIELKAN.	ZIEL. SW.	BOŻE CIA.	ADWENT
1900	28 Lutego	15 Kwiet.	3 Maja	14 Czerw	2 Grud.
1901	20 „	7 „	26 Czerw.	6 „	1 „
1902	12 „	30 „	18 Maja	29 Maja	30 Listop.
1903	25 „	12 Marca	31 „	11 Czerw.	29 „
1904	17 „	3 Kwiet.	22 „	2 „	27 „
1905	8 Marca	23 „	11 „	22 „	3 Grud.
1906	21 Lutego	8 „	27 Czerw.	14 „	2 „
1907	13 „	31 Kwiet.	19 Maja	30 Maja	1 „
1908	4 Marca	19 „	7 Czerw.	18 Czerw.	27 Listop.

NOWOROCZNIK

„BŁAWATKA"

Podatki w 1900 roku

z Zwiry z Karmelitt

1899

DO MŁODEJ MATKI.

O młoda matko, gdy u twego łona
Pierwszy raz dziecię małe zaszczebioce,
Gdy nad kołyską siędziesz pochylona
Czuwać na straży dnie całe i noce —

Gdy cię łza pierwsza, pierwszy uśmiech wzruszy
I wzrok dziękczynny poślesz w nieba stronę,
Pomnij, o matko: w tej dziecęcej duszy
Bóg ci powierzył skarby utajone!

Gdy raz się ścieśni twe rodzinne koło,
Od zgiełku świata trzymaj się z daleka,
Z dumą pogodne możesz podnieść czoło,
Boś dała światu nowego człowieka.

Stań, jak kapłanka przy domowym progu
I tam w świątynię niech się dom twój zmieni,
Boś ty wezwana do pomocy Bogu,
Jak biały anioł w koronie z promieni.

Świeć twemu dziecku na drogę żywota,
By na manowce nie zbłądziło snadnie —
W tobie niech pozna co piękno, co cnota,
Zanim go świata sieć oplącze zdradnie.

Naucz go kochać, co wzniosłe i święte,
Co z nieba przyszło i co w niebo wraca,
I co czarami poezyi zaklęte,
I co genjuszów podźwignęła praca.

A w macierzyństwa twego aureoli
Zorane czoło świecić będzie jasno,
I choć twej skroni wawrzyn nie okoli,
Przy takim blasku inne sławy zgasną!...

Maryan Gawalewicz.

KWIATY.

— Co tu kwiatów!.. Miły Boże, co tu kwiatów!

Chyba ogród cały złożono u stóp królowej sezonu!.. I co też pani z temi kwiatami zrobisz? Zabierzesz je z sobą wszystkie? W takim razie należałoby może oddzielny wynająć wagon... inaczej udusić się można. Ileż to westchnień, nadziei, zawodów pojedzie wraz z temi kwiatami!..

Pokiwał smętnie głową i złożywszy usta do uśmiechu, patrzał na nią uważnie.

— A pan co ukrywasz w kapeluszu?.. Zapewne kwiaty, gdyż nie mam pańskiego bukietu.

— Zgadłaś pani, lecz czyż ten drobiazg można nazwać bukietem wobec piramid kwiatowych, któremi panią zasypano?.. Dziś rano poszedłem za las daleko i narwałem trochę tych kwiatków. Nie wiem, czy pani lubi bławaty i niezapominajki?. O mniejszy trudno bukiecik... Nie sprawi za to pani żadnego kłopotu... łatwiej go będzie, niż inne, wyrzucić za okno wagonu na stacyi najbliższej...

To mówiąc, podał jej wiązankę kwiatów polnych.

— Dziękuję panu — odrzekła z dźwięcznym uśmiechem, ukazując dwa rzędy drobnych zębów.—Oh! panie! ja nie wszystko za okno wyrzucam. Mam pyszną książkę pamiątkową, do której wpisuję różne myśli i uwagi sławnych autorów a czasami nawet moje własne zdania, co prawda, nie zbyt warte utrwalenia... Są tam rysunki, malowidła, zwierzenia moich przyjaciółek i wiele ciekawych rzeczy. A jeżeli mi się ktoś... to jest, kwiatek naprzykład, podoba, to go długo przechowuję w tej

książce... Bardzo lubię te skromne kwiateczki! Śliczne!... Dlaczegóż one nie pachną i nie kwitną zawsze?...

— Nic niema trwałego, a chwilowem jest istnienie i najpiękniejszego kwiatu na ziemi.

— A miłość? — zapytała, przechylając głowę, zdobną w długie, jasne warkocze.

— Bywa taka, która trwa do zgonu.

— A pamięć ludzka? — spytała natarczywie.

— Bywa różna; najlepiej swoją określić potrafię.

— Proszę...

— Żałuję bardzo, że tak późno tu przyjechałem, lecz pamiętać będę o pani, gdy te wszystkie kwiaty woń stracą...

— To niedługo... to wcale niedługo...

— Gdy one zwiędną, marzyć będę o pani, a gdy zapomnisz o mnie i o kwiatkach, ja będę...

— Albo to prawda! — przerwała machnąwszy ręką. — Takie rzeczy u wód mówią się na każdym kroku. To podobno nie obowiązuje do niczego...

— Może się i mówią — odrzekł z żartobliwym nieco uśmiechem — lecz nie każdy je mówi...

— Aha!... rozumiem... pan jesteś inny... Chcesz się wyróżnić wśród szarego tłumu. Nie warto... nie warto... — powtórzyła ciszej z udaną powagą. — Żołnierz, który przerasta swoich towarzyszy, pierwszy kulą w łeb dostaje... To nie moje zdanie; wygłosił je wczoraj przedemną na deptaku jeden z uczonych panów... Daj pan sobie pokój z popisem przed taką, jak ja, pustą dziewczyną, która się zna tylko na psach i koniach, a kocha wieś, polowanie i własny ogród kwiatowy. Do widzenia!... Już po drugim dzwonku... Może się spotkamy kiedykolwiek...

I zręczna jak łania, wskoczyła do wagonu, gdzie niecierpliwiła się już stara jej ciotka.

Gdy pociąg ruszył, stanęła w oknie i żegnała wszystkich jednakim uśmiechem. Oczy jej błyszczały radością, a w sercu żadne zapewne nie zrodziło się westchnienie,

żadna myśl tęskna nie pobiegła za miejscem, które opuszczała i za tymi, którzy ją obrzucili kwiatami.

Pociąg oddalał się coraz szybciej, warczenie kół żelaznych stawało się słabszem, dym czarny wił się coraz cieńszym obłokiem i nareszcie wszystko zniknęło z oczu. Wszyscy poszli a on pozostał sam, ciągle wpatrzony w tę dal bezmierną, w którą uleciało słodkie życia jego marzenie.

Teraz dopiero poczuł pustkę wokoło siebie, gdy to wesołe dziewczę, z którem spędzał długie dnia godziny, odbiegło, by do niego może nie zbliżyć się więcej.

Ocknąwszy się nareszcie z zadumy, pobiegł do kasyna, gdzie panował ruch, gwar i śmiechy zadowolonych twarzy. Nie mógł się jednak dostroić do ogólnego tonu wesołości i uciekł na samotny spacer po lesie.

Usiłował wyrozumować sobie to uczucie i zapewniał sam siebie, że ono przejdzie i nie pozostawi w duszy jego śladu, jak wiatr, który musnął gładką taflę wody.

Nie było to jednak rzeczą zbyt łatwą, gdyż przed oczyma ciągle stało zjawisko, które ujrzał po raz pierwszy na balu w niebieskiej sukience, z habrami we włosach, z naszyjnikiem turkusowym na białej szyi. Śliczną była, a w tańcu wyglądała, jak wstęga niebieska wśród szarych chmur horyzontu.

Wyjechał wkrótce z miejsca kąpielowego, a w domu rzucił się w wir zajęć codziennych i interesów żmudnych; lecz wokół wszystkich myśli i czynów jego wił się uparcie, jak bluszcz bujny, ów kawałek błękitu.

Zajęcia, interesów i trosk codziennych miał co niemiara. Skutkiem sporów i działów sądowych rodzinny majątek ziemski przeszedł w obce ręce. Od roku przeto mieszkał w mieście, gdzie wybudował wedle nowego systemu wielki młyn parowy. Krewni, eks-sąsiedzi i znajomi, zwali go od tej pory pogardliwie „młynarzem“, konkurenci zaś nie szczędzili niczego, by stłumić każdy jego oddech swobodny, by utru-

dnić krok każdy na tej nowej drodze życia.

Łamał przeszkody z uśmiechem i szedł wytrwale do celu. Lecz jak rdza pożera żelazo, jak drobna kropla, sącząc się ciągle, wierci skały olbrzymie, tak jego te ciągłe przeciwności poczęły zniechęcać do dzieła.

Często pochylony nad szeregiem cyfr, zatopiony w myślach o różnych kombinacyach przedsiębiorstwa, z rozpaczą nagle chwytał się za głowę, na stół rzucał pióro ze złością i zrywał się z miejsca, by uciec choćby na kraj świata. Po jakimś czasie przychodziła rozwaga, wracała dawna moc umysłu i uśmiech dobrotliwy pod ciemnym wąsem. Zasiadał spokojnie do pracy, gdyż między stosy papierów i kolumny liczb wplątało się znów piękne wspomnienie, które troskę spędzało z czoła i rozjaśniało każdą myśl szarą, niepewną...

Czuł jednak, że marzenie, które migotało w jego oczach, duszę kołysało snem rozkosznym, a często odurzało jak nar-

kotyk, nie starczyło w życiu. Im więcej upajał się tem uczuciem, tem większa w jego sercu płonęła tęsknota; im więcej tęsknił, tem większą pustkę widział wokół siebie.

Nareszcie zdobył się na krok stanowczy... Pewnego poranku siadł i w liście obszernym wyznał jej wszystko, prosząc o słowo zmiłowania i nadzieji.

Upłynął miesiąc jeden i drugi, lecz odpowiedź nie nadchodziła, gdyż ona przeczytała list z uśmiechem i niedowierzaniem, poczem zamyśliła się trochę i szepnęła:

— Niech poczeka!

Miała zresztą zajęcia pilniejsze i kłopotów sporo. „Murka", ukochana klacz siwa, chorowała bardzo i leczoną była bezskutecznie, codzienne zaś ujeżdżanie młodego bułanka sprawiało trudność pewną i zabierało wiele czasu. W sąsiedztwie znów układano wielkie kuligi i polowania, a ona tak lubiła zabawy kostjumowe i przepadała za łowami! Kuzynka jej właśnie wychodziła zamąż; miało być huczne wesele

i sto nowych gości o sto mil zdaleka. Musiała myśleć o stroju nowym, którego w żaden sposób nie chciała zapożyczyć z ostatniego żurnalu. Pragnęła zaćmić wszystkich przepychem i oryginalnością, gdyż nie darmo w całej okolicy zwano ją zbytnicą i próżną dziewczyną.

Nie śpieszyła się więc z odpowiedzią i zapomniałaby może o liście i jego autorze wśród koni, łowów i dźwięków balowych, gdyby nie pewne, niespodziewane zdarzenie.

Na bułanku, sama jedna, wyruszyła w pole. Po długiej przejażdżce zmierzała przed burzą do domu. Koń, przestraszony grzmotem, wskoczył w parów nad brzegiem lasu. Krzyknęła, widząc tam śmierć niechybną, lecz szczęśliwym trafem wyjechała cało z parowu, siedząc silnie w siodle i trzymając cugle w rękach. Koń szedł ciągle kłusem ku domowi, a ona przez długi czas nie mogła ochłonąć z przerażenia. Zdawało się jej, że z pośród gęstwiny leśnej wystąpiła nagle jego silna postać,

schwyciła konia za cugle i żelazną dłonią wyprowadziła z parowu.

Przetarła oczy, obejrzała się za siebie, lecz nie spostrzegła nikogo.

— Przywidzenie! — rzekła i gniewna wróciła do domu.

O wypadku tym postanowiła nie mówić nikomu, a o nim nie myśleć wcale, gdy nagle, jak piorun, uderzyła w nią wieść straszna, którą przywieźli goście z miasta, przybyli do jej brata na polowanie.

Z przekąsem i zadowoleniem, jakie sprawiać zwykło niepowodzenie ludzi odważnych, poczęto głosić o zachwianiu się interesów „młynarza." I prześcigali się ci zwiastunowie nieszczęsnej nowiny w opowiadaniu rozmaitych szczegółów sprawy.

— Zbankrutował, jak ostatni handlarz! — mówił jegomość z długimi faworytami i monoklem w oku.

— Mój kuzyn, który jest adwokatem — wycedził przez zęby młodzian gołowąsy z początkującą łysiną — opowiadał mi, że

wkrótce ogłoszą jego upadłość. To podobno rzecz bardzo nieprzyjemna... pachnie kozą...

— Tak! tak, pani dobrodziejko — odezwał się podżyły dobrze pieczeniarz. — Za kulisami są podobno bardzo brudne rzeczy... I ja wiem o tem z dobrego źródła...

— Cóż takiego? — zapytano chórem.

— Ja go oczerniać nie chcę... Nie jestto moim zwyczajem... Bóg z nim!... Lecz po co się brał do nie swoich rzeczy?... Albośmy to stworzeni do handlu i przemysłu?... Chciał konkurować z tymi... tam... młynarzami... To nie taka łatwa sprawa... Tamci, to ludzie inni: silniejsi, sprytniejsi od nas... gotówkę mają... — dodał z westchnieniem — i protekcję... a my co?... Nic... Musiał więc oszukiwać na towarze, sprzedawał stęchłą mąkę, z czego będzie... ach!.. sprawa karna... i haniebnie wyprowadził w pole swoich wierzycieli... Ja go oczerniać nie chcę... Bóg z nim... ale wszyscy tylko o tem mówią...

— Tłómaczy się podobno — odrzekł młodzian bez wąsów — że magazynier, wypędzony jakoby za kradzież, przez zemstę oblał mąkę karbolem.... Ale, czy to sąd w takie bajki uwierzy?...

— Rozumie się! — zawołano jednogłośnie. — Najlepiej zwalić na kogoś winę!

Piękna panna słuchała tych opowieści z uwagą, na pozór zimna i martwa, jak posąg z kamienia. Lecz nagle powstała z miejsca, z błyskawicą oburzenia w oczach.

— To fałsz! — krzyknęła. — Ja znam dobrze tego, kogo oczerniacie! Mógł się przerachować, mógł stracić wszystko, lecz pewną jestem, że pozostało mu czyste sumienie i czystsze, niż u wielu, ręce... To fałsz, powtarzam!

— Ależ, pani dobrodziejko — odrzekł pieczeniarz — Bóg z nim! Jakem miał zaszczyt nadmienić, oczerniać go nie chcę, ale to sprawa głośna... Żaden porządny człowiek ręki mu nie podaje... Cała opinja zwróciła się przeciw niemu, a to nie są żarty, proszę pani...

— Wielka mi rzecz — przerwała — ta wasza opinja! Zdanie trzech głupców, którym się zdaje, że mówią trzecią część prawdy! ..

— Nie zgodzę się na to — odrzekł młodzian — opinja, to sędzia najwyższy i..

— Frazes! — zawołała — jak tysiące innych, które wyrzucacie tysiące razy dziennie, jak tysiące niegodnych pocisków, któremi nieoględnie godzicie w honor uczciwego człowieka! Fałsz, wszystko fałsz, powtarzam, ja was przekonam i ja go obronię!..

Wzburzona, z pięknym rumieńcem na twarzy, wybiegła do swego pokoju i siadłszy przy stoliku z gorączkowym pospiechem pisać zaczęła:

„Panie! dałam zbyt długo czekać na odpowiedź, lecz dowiedziawszy się o ciężkiej trosce pańskiej, spieszę błąd naprawić. Żal mi pana szczerze! Wyrwij się pan z zaklętego koła tych nieszczęsnych interesów i przyjedź, bardzo proszę, do nas, gdzie wszyscy panu radzi będziemy. Przyjedź pan, nie unikaj ludzi, bo tak czynić zwykli

ci tylko, co słabego są ducha. Machnij ręką na wszystko; wszak świat jeszcze się nie kończy, a do tej pory uradzimy może coś dobrego. Potem... przypomnimy sobie nasze pogawędki, sprzeczki i te piękne spacery letnie. Gdy zaś będzie sposobna chwila, to pokażę panu moją ciekawą książkę pamiątkową, w której odnajdziesz i poznasz może skromne, polne, zasuszone kwiaty".

. . . .

Leopold Méyet.



FIJOŁKI.

Te fijołki, co mnie nęcą,
Te nie siedzą skryte w trawie —
Lecz z pod długiej, ciemnej rzęsy,
Patrzą na mnie tak ciekawie. —

Z pod tej rzęsy, co ocienia
Piękniej niżli traw zieloność,
W niebieskiego mgle spojrzenia
Patrzy na mnie nieskończoność.

Niezmierzona, dziwna głębia!
W niej się wszystko, wszystko mieści:
Wymarzone senne skarby,
Czarodziejskich raj powieści.

Ale na tych skarbach wróżka
Położyła swe pieczęcie;

Strzeże oczął i serduszka
Sen cudowny i zaklęcie.

I te oczy drzemią jeszcze
Otoczone tajemnicą,
Choć z nich czasem błyśnie płomień
Jedną wielką błyskawicą.

Z pod spuszczonych skromnie powiek
Widać jakby jutrznię nową...
O, szczęśliwy stokroć człowiek
Kto odgadnie zaklęć słowo!

Szczęsny, komu się otworzą
Pełne blasku i pieszczoty!
Wędrowałbym na kraj świata,
Byle znaleźć ów klucz złoty.

O fijołki! lube, zdradne!
Troska dręczy mnie surowa...
Bo ja zginę i przepadnę,
Nie znalazłszy zaklęć słowa.

El..y.

Skowronek.

Skowroneczek furknął w glebie,
Zatrzepotał w drobne skrzydła:
I jak gdyby zwisł u sidła,
Śpiewa ziemi pieśń na niebie.

O co prosisz skowroneczku,
Czy o pokój w twem gniazdeczku?
Czy o ziarnko — drobną miarką?
Czy o wody dla ochłody?

— Ja o szczęście proszę wioski,
Bom ja śpiewak Matki Boskiej!
A gdy ludziom dobrze, czule,
To się i ja gdzieś przytulę...

— A więc lecę pod niebiosy
I niebieskiej błagam rosy,
Błagam burzy urodzajnej,
Aby rosła niwa, łąka,
Płodnej ciszy, ciepła, słonka...
I to pacierz mój zwyczajny.

Wincenty Pol.

Oświadczyny.

— Panno Wando — zapytałem bez myśli — a co będzie dzisiaj na kolacyę?

Dziewczyna rozśmiała się serdecznie i odrzekła:

— Ponieważ jestem, jak ciocia powiada, łaskawą królewną, więc z góry wynagradzając trudy wiosłowania, zaleciłam pańskie ulubione potrawy.

Zazwyczaj nie znoszę śmiechu panieńskiego, zawsze bowiem jest on tendencyjny i ma pretensye do uwydatniania rozmaitych poruszeń panieńskiej duszy; panna Wanda wszakże miała jakiś szczery i wdzięczny rodzaj śmiechu; to też

wpadając w ton mojej wesołej towarzyszki, zauważyłem:

— Rola łaskawej królewny, czy wróżki, może się pani nie udać, bo ja nigdy nie zdradzam moich gustów — nawet jadalnych.

— Proszę! Takiż to nadzwyczajny sfinks z pana? A jednak jabym pana z łatwością odgadła.

— No, więc co ja myślę?

— Wiem, ale nie powiem, bo nie warto.

Dość banalne to przekomarzanie się zwróciło moją uwagę w kierunku słów ostatnich. Ba, a co to ja takiego w samej rzeczy myślę, o czem ona niechce mówić? no myślę, myślę o kolacyi, o łódce i...

Szliśmy przez wydeptane i zeschłe rżysko. Dokoła otaczała nas zwolna noc ciemna, jesienna, której ciszy nie przerywa żadne echo, żaden szelest.

Na niebie zwolna, jakby leniwo, zapalały się gwiazdy. Wśród tej pustki i ciszy właściwie jedynym przedmiotem, o którym warto było myśleć, była moja to-

warzyszka. Mimowoli spojrzałem na nią uważniej; ożywiona zazwyczaj twarzyczka nabrała w tym ponurym mroku jesiennym jakby melancholijnego wyrazu; tylko ciemne oczy zdawały się błyszczeć i nawpół znacząco, nawpół figlarnie na mnie spozierać.

„No przyznaj się, przyznaj, mówiło to spojrzenie, że myślisz o mnie“. Ja jednak postanowiłem się nie przyznawać.

— Kobiety, a zwłaszcza młode dziewice — rzekłem tonem, który miał pretensyę do ironii — posiadają podobno dar przeczucia, ułatwiający im odgadywanie cudzych myśli, tylko zdaniem mojem nie jestto dar szczęśliwy.

— Dlaczego? i dlaczego pan mnie tak uroczyście przestrzegasz?

— Widzi pani, zgadnąć i przeczuć to nie sztuka, ale sztuka się dowiedzieć, bo to wymaga wyznania, a wymuszone wyznanie . . .

— Panie, panie, coś pan się plączesz ?

W rzeczy samej plątałem się, bo mi przeszkadzały oczy. Ach! te oczy, te oczy.

— Tak, plączę się, bo te wszystkie przeczucia, uczucia, wyznania, cały ten słowem balast, jest mi obcy i nieznany.

Wybuchnęła znowu szczerym śmiechem.

— Ach panie! czyż tego trzeba się uczyć?

— To nie — odrzekłem z niecierpliwością — a raz doświadczywszy, potrzeba się potem strzedz.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Co ja plotę, co ja plotę — oburzałem się na siebie w duchu, ale te oczy, te oczy, to one mi przeszkadzają.

Szliśmy przez kilka chwil w milczeniu, zasłuchani w tę ciszę i zapatrzeni w gwiazdy; powoli uspakajałem się.

— Widzi pani — odezwałem się już zwyczajnym głosem — ja bo trzymam się zasady Heinego, której zresztą sam poeta bynajmniej nie przestrzegał: „że

kochać się po dwa razy mogą tylko wielcy durnie".

— Zaciekawiasz mnie pan, bo jeżeli tak strasznym jest ten drugi raz, więc jakiż był pierwszy?

— Historya bynajmniej nie ciekawa, panno Wando — odrzekłem, odzyskując swobodę. — My teraz nie tylko dwa razy, ale i raz kochać się nie umiemy. Serce zjada nam rdza życia, a na szarem tle codziennej troski, uczucia nasze wzrastają jak mizerne źdźbła, a nie jak kwiat wspaniały. Nie znamy ani wielkich bólów, ani wielkiego szczęścia. Ot widzi pani:

Niestety, życie - jak szklanna bańka,
Tak mija wielkość złudzeń, zabawa;
Toczy się pieniądz, zdradza kochanka,
Miłość przemija i stygnie kawa.

— No, nam to zdaje się stygnie kolacya a nie kawa — zauważyła wesoło. — Ale coś mi szepcze, że pan pozuje.

— Bo i prawda — pomyślałem. A jednak ta dziewczyna rzeczywiście posiada doskonałe przeczucie.

Powtórzyłem tę uwagę głośno.

— Panie — odrzekła prędko — więc dlaczego pan to robi, dlaczego się pan otacza jakimś łachmanem przeżycia, tak, że pod nim trudno prawdziwego pana dojrzeć, a chyba przeczuć potrzeba.

— Dlaczego ja to robię... dlaczego ja to robię? Ot, bo mi źle na świecie!

Weszliśmy w milczeniu do parku pod sklepienie wysokich starych drzew na wązką ścieżkę.

Ach, wązkie ścieżki, ach te wązkie, zdradne ścieżki, czy ja wiem gdzie one wiodą? Wiem tylko, że mi i źle i dobrze, że jakaś nieskończona głęboka rzewność opanowuje mi serce, i wiem, że oto ona tuż przy mnie.

— Panno Wando — odezwałem się — mam do pani jedną bardzo śmieszną prośbę. Oto widzi pani ja jestem trochę przesądny, więc niech mi pani da rękę na szczęście. Może wreszcie i do mnie ono...

Podała mi żywo rękę.

— Z całej duszy, z całego serca życzę panu szczęścia — rzekła bardzo wzruszonym i cichym głosem.

Pochyliłem się i przycisnąłem jej rękę do ust. Przebiegł po mnie niby prąd magnetyczny. „Lecz się kochać po dwa razy mogą tylko wielcy durnie", przeleciało mi jak błyskawica przez głowę. Ech, miejmy odwagę być niemądrymi, jeżeli w tem szczęście się zawiera.

Nad głowami naszemi szumiały stare drzewa, jakby dziwiąc się wiecznym ludzkim złudzeniom. Ech, co mnie jakieś głupie drzewa obchodzą, gdy oto trzymam rękę ukochanej w mojem ręku, gdy słyszę niemal jej serca bicie, gdy czuję, jak fala uczuć wzbiera w mojem sercu.

— Panno Wando, Wandziu ukochana moja — mówiłem bez sensu zdławionym głosem — daj mi tę rękę na życie całe, a jakiegoż mi więcej szczęścia potrzeba? Ja cię kochać będę życie całe, pójdziemy

razem połączeni, — i przesunął mi się refleksyjnie w myśli wierszyk:

O mój aniele, pójdziem połączeni
Przez świat i życie, rozkosz i boleści.

— No — pomyślałem — jeżeli nawet oświadczyć się nie potrafię po ludzku, tylko po literacku, to... — ale tłumiąc głos kwaśnego pessymizmu, dodałem:

— A czy mnie kochasz choć trochę?

— Czy ja cię kocham? — szepnęła, wznosząc ku mnie rozmarzone oczy.

Ach! gdzież ja to słyszałem, gdzie ja to słyszałem? aha „czy Marya ciebie kocha“. Jakie to jednakże wszystko płaskie, myślałem z niechęcią. idąc i nie wiedząc co mówić. A jednak była to taż sama dziewczyna, która mi się przed chwilą wydawała cudną jak marzenie, jak ideał. A teraz zdawało mi się pociemku, że jej stanik jest krzywo włożony i że to rozmarzenie jest w gruncie rzeczy tylko głupie. Ach, podłe plemię oburzałem

się na siebie, które nawet w takiej chwili czuć naturalnie nie może; ale pocom ja w to wlazł, pocom wlazł?

Nad nami mignęła i zgasła gwiazdka spadająca.

Maż i dla mnie zgasnąć na zawsze ta jedyna chwila szczęścia, a potem czeka mnie tylko smutne szare życie, takie jak to niebo jesienne?

— Wiesz — szepnęła mi — że nim gwiazda zgasła, zdołałam pomyśleć, że będziemy bardzo, bardzo szczęśliwi!

Ach prawda, to odtąd my mamy być „razem“ szczęśliwi. No, jakże to ja, który nieraz widoku ludzkiego nie znoszę, a tu masz „razem szczęśliwi.“ A no, bądźmy szczęśliwi! Zbliżaliśmy się do dworu. Przez otwarte drzwi biło ku nam z salonu światło i płynęła dziarska nuta, mazurowa, wygrywana zapalczywie, choć nie arcy-wprawnie.

— Mama idzie — szepnęła panna Wanda, odsuwając się odemnie na przyzwoitą odległość.

Prawda, że to jest jeszcze mama, papa, oświadczyny, możliwość odkosza, rozmaite kłopoty... aj — aj, otom sobie napytał!

— Państwo tak długo bawili na łódce — rzekła dziwnym jakimś głosem (mamy mówiąc pociemku do córek mają również dziwne głosy) zwykle bardzo dobroduszna mama — że byłam niespokojna. Wandzia mogła się przeziębić.

— Bogać tam przeziębić — zauważyłem w duchu.

Poleciała przepióreczka w proso,
A ja za nią, nieboraczek, boso.

brzmiał fortepian.

Oj — tak, mimowoli przyśpiewując w takt, myślałem: w proso jak w proso, ale na rzekę, a już to ze mnie istny nieboraczek, bo to nietylko „boso“ ale i „goło.“

Zapomniałem pani matki spytać,
Czy pozwoli przepióreczkę schwytać.

Oj zapomniałem i dobrze mi tak. Pozwoli — źle, nie pozwoli — jeszcze gorzej. Oj nie pozwoli — przypuszczałem —

patrząc na ciemną sylwetkę najzacniejszej „pani matki,“ która mi się teraz wydawała dlaczegoś złowrogą w swym czarnym szalu.

— A my pana czekamy, czekamy — mówił mi ode drzwi papa — przyjechali pan Jan i pan Konstanty, wint panie dobrodzieju kapitalny, a tu jak niema tak niema. Pan Konstanty już z rozpaczy siadł do fortepianu i rżnie mazury. Na głos — peda — przyjdą.

Bodajeś ty z twoim wintem i ty z twoim mazurem — przeklinałem w duchu — ale prawda, wszakże to mój ewentualny teść, trzeba więc z nim grać uważnie i nie zważać na bąki, jakie ciągle ma zwyczaj strzelać, myślałem, tasując karty.

— Życzę panu szczęścia — rzekła panna Wanda, przechodząc do dalszych pokoi.

— Coś ona zanadto tymi życzeniami szafuje — grymasiłem na stronie, a pan Konstanty rozwlekle prawił:

— Nie należy, panno Wando, dobrodziko, nie należy, bo to młodemu trzeba szczę-

ścia w czem innem. A wiadomo, że kto w karty szczęśliwy, ten... A ot, ja tymczasem *bez atu.*

— *Pas* — mruknąłem ze złością, bo mnie irytował ten szlachcic ze swymi odwiecznymi konceptami, a i w kartach żadnej nie miałem figury.

Z sali jadalnej dolatywał nas brzęk talerzy. Czy choć w samej rzeczy będą na kolacyę moje ulubione potrawy, pomyślałem?...

Scarabejus.

Listku dziś suchy, przypomnij mi strony,
Gdzie nad błękitnem Albano jeziorem
Tłum drzew jesiennych zawieszał się wzorem
Szczęścia zwiędłego uwiędłej korony!
A w głębi cisza, w dole śliczne wody,
Wiecznie te same — niebiańskiej pogody!
Choć na ich brzegach zwiędły kwiaty Boga
I płaszcz się rozdarł zielonej natury,
I ludzkich zamków zapadły się mury
I liściem zżółkłym pokryła się droga —
One powietrza światło odbijały,
I w nich był znajom — obraz nieba cały!
Tak w głębi serca, tak w przepaściach duszy
Drga jakieś Boga przeczyste odbicie,
Choć wewnątrz pełno mąk, trosk, łez, katuszy,
Choć serce zżółkło, — tam w sercu trwa życie,
I niewidzialnym, ukrytym błękitem
Głąb wód i serca — związan z niebios szczytem!

Zygmunt Krasiński.

RYBKI.

Ej dzieweczko, rybki żywe
Bierzesz śmiało, i z uśmiechem
Na sznur biedne, nieszczęśliwe
Niżesz. Czy to nie jest grzechem?

Patrz, jak drgają pod twą ręką,
Kiedy chwytasz je z pośpiechem;
Bawić się choć rybek męką,
Dziewczę, czy to nie jest grzechem?

Później serca tak drgać będą
I skarżyć się cierpień echem
Gdy je czary twe obsiędą —
Czy i to nie będzie grzechem?...

Z. K.

A kiedy będziesz moją żoną,

Umiłowaną, poślubioną,
Wówczas się ogród nam otworzy,
Ogród świetlisty, pełen zorzy.

Rozwonią nam się kwietne sady,
Pachnąć nam będą winogrady,
I róże śliczne i powoje
Całować będą włosy twoje.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
Wśród złotych przymgleń i promieni,
Pójdziemy wolno alejami,
Pomiędzy drzewa, cisi, sami.

Gałązki ku nam zwisać będą,
Narcyzy piąć się srebrną grzędą,
I padnie biały kwiat lipowy
Na rozkochane nasze głowy.

Ubiorę ciebie w błękit kwiatów,
Niezapominek i bławatów,
Ustroję ciebie w paproć młodą
I świat rozświetlę twą urodą.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
Wśród złotych przymgleń i promieni,
Pójdziemy w ogród pełen zorzy,
Kędy drzwi miłość nam otworzy.

Tetmajer.



ŁZA.

GABRYELA ŚNIEŻKO ZAPOLSKA.

Pytasz mnie, siostro kochana, jakim cudem w młodości mojej uniknęłam pokusy? Pytasz mnie, dlaczego białą i czystą szatę anioła doniosłam na sobie do tej chwili, gdy przybywająca zmarszczka — zwiastun starości — stawia dla nas kobiet mimowolną zaporę od grzechu i broni nas przeciwko złym instynktom naszym?

Dziś mam srebrne nici w moich czarnych włosach; ciemne, przygasłe oczy patrzą na świat spokojnie — bez chęci, bez żądzy do śmiechu — jestem już starą,

zgrzybiałą prawie kobietą — nie żyję sobą ale żyję innymi, cieszę się radością drugich — płaczę ich łzami. Patrzę w przeszłość moją chętnie, przewracam księgę mego życia kartka po kartce i nigdy rumieniec wstydu nie plami mego czoła. Życie me bez skazy — a jednak to nie moja zasługa.

Mówię tak jak ty, siostro droga:

— „Nie moja zasługa!“

Ale ty zasługę swej nieskazitelności kładziesz na dzielące cię od świata żelazne kraty, na tę furtę klasztorną, która się zamknęła z głuchym trzaskiem, gdy młoda i uśmiechnięta zstępowałaś do grobu, — na tę przysięgę złożoną pod całunem grobowym, gdy w białej szacie kładłaś się na chwilowy spoczynek aby umrzeć dla świata... na wieki! Ja wszakże pozostałam na tym świecie. Pozostałam i szłam przez życie, męcząc się i bawiąc na przemiany, ścierając łzy uśmiechem, raniąc nogi o ciernie i tamując krew na balowej posadzce sali tanecznej.

Szłam przez życie sama, pchana prawie w przepaść, tańcząca nad brzegiem bagniska, a mimo to ocalałam bez krat, bez przysiąg, bez całunów klasztornych. Nie kradłam szacunku świata na wzór innych kobiet, które kochanków swoich sadzają w ogniskach domowych, które namiętnością występną skalane czoła nadstawiają do czystego pocałunku męża, lub pieszczoty niewinnej dzieciny. Nie byłam taką przewrotną istotą, okradającą świat i własną rodzinę, a przecież, siostro moja, mogę patrzeć w przeszłość moją spokojnie, bez troski: ale dumną być z tych kart białych... nie mogę! nie mogę!. .

Bo i na mnie przyszła pokusa razem z namiętną melodyą walca, spłynęła strumieniem gazu, śmiała się wśród tanecznych kręgów wesołych.

Pokusa ta owionęła mnie razem ze srebrzystą gazą mej sukni balowej — ślizgała się po mej obnażonej szyi — upajała mnie wonią mego bukietu.

Wracała ze mną do domu i stawała u wezgłowia mego łoża Uchylając białe firanki, rozsnuwała przedemną całe światy nieznane, przenosiła w kraj pełen cichych szeptów i namiętnych uścisków, rozpalała krew, a wziąwszy swą starszą siostrę „Ciekawość" do pomocy, śpiewała mi piosnki dziwne, pełne czarów i niezwalczonych ponęt.

Miałam lat dwadzieścia, byłam piękną — bardzo piękną i zaniedbaną przez męża.

Ty wiesz najlepiej, w jakich okolicznościach poszłam do ołtarza. Zrobiłam to dla niej, dla tej świętej naszej, która pragnęła przed zgonem swoim widzieć nas spokojne i wolne od niebezpieczeństw sieroctwa.

Mąż mój, znacznie starszy odemnie, nie miał czasu mną się zajmować. Tyle miał spraw finansowych na swej głowie, że dając mi jedwabne suknie, powóz i trochę klejnotów, sądził iż wypełnił wszystkie obowiązki — o resztę nie troszcząc się wcale.

Ja przecież w młodości mojej marzyłam o innem życiu, o szczęściu cichem, spokojnem, bez tanecznej muzyki i szelestu papierowych banknotów. Nieraz pragnęłam zatrzymać go na długi wieczór zimowy i spędzić z nim chwilę sam na sam — we dwoje.

Napróżno! Zwykle jakieś posiedzenie akcyonaryuszów lub podobne zatrudnienia nie pozwalały temu, który miał całe życie spędzić przy mym boku — pozostać przy mnie przez jeden wieczór.

Zostawałam sama, i siedząc w saloniku, próbowałam czytać lub haftować jakąś drobnostkę.

Byłam jednak młoda, życie wrzało we mnie z całą siłą, chciałam przemówić, pośmiać się, wypłakać wreszcie...

Oglądałam się dokoła.

Cisza. Byłam sama!

Przedemną na inkrustowanym stoliku paliła się lampa, oświecająca dokoła złocone lustra i połyskujące atłasy foteli.

Wielkie rośliny drzemały w kątach salonu, zdając się nudzić, tak jak ja się nudziłam.

I byłam zamknięta jak w wielkim grobie, gdzie czuć się daje zapach trupa i woń złożonego na trumnie wieńca.

Uczułam w swem życiu przerażającą pustkę. Matka w mogile, ty za kratą klasztorną; nic, nic na świecie mojego — żadnego serca, na któremby można złożyć strudzoną głowę, od nikogo dobrego słowa, rady i opieki...

Ogarnęła mnie niechęć do życia. Poco ciągnąć więc dalej tę smutną taczkę, do której wprzęgłam się dobrowolnie? Wstawać rano i żyć dalej bez celu, bez uśmiechu, bez wyśnionej roskoszy — po co! dlaczego?

Powoli wstałam i zbliżyłam się ku oknu. Chciałam umrzeć, ale nie zaraz. Pragnęłam zgasnąć powoli, usnąć bez wielkich męczarni. Machinalnie otworzyłam okno. Wszystko bieliło się od śniegu. W migocącem świetle latarni biała opona

iskrzyła się blaskiem tysiąca brylantów. W powietrzu latały białe, srebrnawe płateczki i osiadały zwolna na ziemi lub odzieży przechodniów. Oparłam głowę o ramę okna i patrzyłam na ulicę. Była to noc styczniowa, noc pełna śmiechu i wesołości karnawałowej — bogaci i biedni śpieszyli za marą chwilowej rozkoszy, potrącając się wzajemnie. Naprzeciw mego mieszkania oświetlone okna kamienicy wyrzucały potoki światła i fale melodyi.

Na dole stało rzędem kilka karet ubielonych śniegiem, oczekując na gości.

Wybiła dziesiąta.

Smutne, ponure tony uderzały w powietrze, rozlewając się dziwnym jękiem ponad rozbawionem miastem.

Zimno mi było — bardzo zimno. Mimo to nie cofnęłam się od okna, a mróz wstrząsający mną całą działał na mnie w sposób dziwny. Zdawało mi się, że to upragniona przezemnie śmierć bierze mnie w swe lodowate objęcia.

Zamknęłam oczy i zsunęłam z ramion szlafroczek, który mnie niedostatecznie ochraniał od zimna.

— Chcę umrzeć! chcę umrzeć!... — powtarzałam do siebie machinalnie, prawie bezmyślnie.

Mimo to melodya walca płynęła ku mnie w powietrzu. Przedzierała się przez zamarzłe szyby, przez purpurowe zasłony okien i porywała w tanecznym rytmie drobne śniegowe płatki, kręcące się w przestrzeni. Mimowoli słuchałam tej piosnki - naprzód z niechęcią, potem z rozkoszą prawie. Walc ten czepiał się mej rozgorączkowanej wyobraźni i wiódł mnie tam naprzeciwko, poza purpurowe zasłony okien.

Widziałam to strojne grono kobiet, czułam woń ich kwiatów, słyszałam szmer pochlebstw, i zamiast umierać, zapragnęłam żyć tak jak i one — przetańczyć życie, skoro przejść po niem nie mogłam.

Podniosłam głowę i... odstąpiłam od okna. W wielkich złoconych ramach

ujrzałam nagle swą własną postać i przeraziłam się moją pięknością, której dawniej nigdy niedostrzegłam. Stanowczo powinnam bywać w świecie i bawić się tak jak inne kobiety...

Jak wspaniale wyglądają moje ramiona przy bladem świetle lampy, jak piękny jest blask ciemnych oczów moich!...

Melodya walca kołysze mnie tempem miarowem. Tak! chcę błyszczeć, chcę śmiać się i sięgnąć po dyadem królewski, do którego mam stworzone czoło. Umierać? Po co umierać, skoro się jest młodą i piękną?

Nie znalazłam szczęścia w domu, pójdę go szukać na sali balowej.

Pragnę gwaru, muzyki - obcy dadzą mi to zapomnienie, którego żądałam od śmierci. W świat! w świat!

I błyszczałam w tym świecie jak nadziemskie zjawisko. Kto ona? Zkąd ona? — pytał tłum, gdy strojna w białe gazy, wchodziłam na salę balową.

„Królowa“ — mówiono dokoła.

A ja szłam z podniesionem czołem, wzbudzając zazdrość kobiet i podziw mężczyzn.

Mój mąż, szczęśliwy, że ma teraz dnie i wieczory swobodne, wprowadzał mnie z pobłażliwym uśmiechem do sali, a potem ulatniał się, pozostawiając mnie samą.

Nazywano go „le mari invisible.“

Uśmiechano się dyskretnie, a ja śmiałam się wraz z innymi.

Bawiłam się namiętnie i stanowczo, byłam królową wszystkich zebrań. Gdy minął karnawał, zapał mój nie ostygł wcale. Wraz z przyjaciółkami memi wynajdywałyśmy różne biedne kaleki, aby na ich dochód urządzać koncerta, loterye i tym podobne zabawy.

Nagle zaszedł wypadek, który pozbawił mnie chwilowo rozkoszy światowych.

Zostałam matką.

Najprzód gniewałam się, płakałam, szalałam prawie ze złości.

Potem rozpatrzywszy sytuacyę, postanowiłam być cierpliwą i wynagrodzić sobie podwójnie przerwę, jaka nastąpiła w zwykłych mych zajęciach.

Gdy pogodnym sierpniowym rankiem Bóg zesłał na ziemię maluchną dziewczynkę, odetchnęłam swobodnie.

— Nakoniec! — zawołałam — nakoniec jestem znów wolna.

I pod pozorem nadwątlonego zdrowia wyjechałam do kąpiel morskich, gdzie rzuciłam się napowrót w wir zabaw światowych. Córkę moją kochałam, ale po swojemu. Rosła więc biedna dziecina, strojna w koronki i jedwabie, wzywana czasem do salonu na chwilę, gdzie składając piękny ukłon gościom mamy, odpowiadała na czynione jej zapytania cieniuchnym drżącym głosikiem. Potem na dany znak wybiegała czemprędzej z salonu, zadowolona że powraca do swego pokoju, gdzie oczekiwała na nią bona francuzka i gruba czarna kotka.

Minęły dwa lata od przyjścia na świat mej córki, a ja wcale nie spoważniałam. Skosztowawszy raz z czary rozkoszy, nie chciałam oderwać ust, pojąc się słodką trucizną, marnując zdrowie i życie. Nagle dostrzegłam, że same bale i zabawy mnie nie bawią, że jest jeszcze inny magnes, ciągnący mnie w oświetlone salony.

Odkrycie to wstrząsnęło mną do głębi duszy i mimowolnym kurczowym ruchem przycisnęłam ręce do piersi.

A jednak tak było i tak się stać musiało!

Wśród tylu pochlebstw, tylu słodkich słówek, wśród tego chóru uwielbiających mnie motyli — niedoświadczone ucho moje wyróżniło głos jeden, dźwięczniejszy od innych, bardziej melodyjny, pieszczotliwy, a jak woń kwiatu upajający...

I dla tego głosu jeździłam teraz na bale i kładłam róże we włosy. Powoli tłum zaczął niknąć przedemną — pozostał on jeden!

Dziś gdy o nim myślę, uśmiecham się mimowolnie, dawniej jednak było inaczej.

Nie kochałam go wcale, ale chętnie poddawałam się nieznanemu mi dotąd urokowi namiętności, który zaczynał roztaczać nademną swe panowanie.

Wielką rolę grała w mej wyobraźni także ciekawość

Wszystko pchało mnie do upadku: przykład, który miałam dokoła, odurzająca atmosfera balowa, szepty namiętne, brak opieki, nareszcie piękność moja i wszystko, wszystko!...

O! siostro moja! Tyś zamknięta za kratą klasztorną, spędzasz dnie całe na strojeniu obrazów w lilie białe, lub ze złożonemi rękami klęczysz ciemnym wieczorem pośród samotnego chóru, a znasz tylko tęsknotę do ludzi — ale nie znasz tej siatki pajęczej, jaką świat rozsnuwa dokoła młodej kobiety.

Ja sama zadzierzgnęłam niebacznie pierwszą nić tej siatki razu jednego, podczas nocy zimowej, gdy wpatrzona w świat

ułudy, wyciągnęłam obnażone ręce, weszłam myślą do niego...

I świat przyjął mnie do siebie. Dał mi roskoszną czarę, w której na wierzchu uśmiechy i radość, a na samem dnie .. występek.

Tak, siostro moja, zawsze na dnie tej czary drzemie nieszczęście rodzin, a często krew i śmierć niewinnych istot; a przecież tak mało kobiet cofa się przed spełnieniem tej czary do dna samego. Trzeba na to wiele silnej woli, lub tego, co mnie ocaliło.

Ciebie ochrania od pokus modlitwa — mnie od występku osłoniła — jej łza!

Jej czysta, srebrna łza.

* * *

Było to pod koniec trzeciego z rzędu karnawału, który upajał mnie śmiechem i szaloną żądzą zabaw. Dniem i nocą trawiła mnie gorączka; bezprzytomna prawie przechodziłam z ręki do ręki eleganckich

tancerzy, drżąc gdy dłoń moja dotknęła jego ramienia.

Coraz chętniej słuchałam jego szeptów, szukałam spojrzeń, pragnęłam zacisznych kątków, ustronnych buduarów.

I przyszło do tego, co się stać musiało.

Wśród woni kwiatów oranżeryjnych, drżąc od wzruszenia, dałam mu przyrzeczenie schadzki, na którą z uśmiechniętą i pogodną twarzą szły tak często moje przyjaciółki.

Dawniej, gdy byłam jeszcze dziewczęciem, zdawało mi się, że każda zhańbiona kobieta musi nosić na swem czole piętno hańby niezmazane, widome dla wszystkich, strącające ją w otchłań poniżenia.

Tymczasem dokoła mnie śmiały się figlarne twarzyczki występnych żon i matek, a ludzie z dyskretnym uśmieszkiem usuwali się im z drogi, wzruszając pobłażliwie ramionami.

A więc to taka kara za grzech z pozoru tak wielki?

I mimowoli pragnęłam spróbować wielkości tego grzechu, zgruntować dno tej przepaści, którą mi z trwogą ukazywała matka moja.

Stało się, — przyrzekłam schadzkę...

Zgodziłam się, a mimo to, choć powracam do sali balowej, nikt się odemnie nie odwraca ze wstrętem.

Najzacniejsze matrony robią mi miejsce koło swoich córek, a mężowie proszą o przyjaźń dla żon swoich.

Tak jest w przeddzień schadzki — tak będzie i po niej — i zawsze, zawsze!...

Nazajutrz drżąca czekam nadejścia nocy — serce mi bije gwałtownie, za każdą upływającą minutą zdaje mi się, że coś ubyło z mego życia, ze mnie samej.

Zbliża się mrok wieczorny.

Razem z cieniem nocy spływa ku mnie melodya jego głosu...

Już nie walczę, nie rozumuję; biegnę ku niemu, staczam się w przepaść hańby.

Ubieram się szybko, osłaniam ciemną woalką i pragnę wyjść szybko, niepostrzeżona.

Nagle u głównych drzwi odzywają się głosy. To mój mąż powraca ze swymi doradcami prawnymi. Ja przecież wyjść mogę w każdej chwili, nie zdając sprawy z mych czynności nikomu. Mimo to, nieokreślona trwoga nakazuje mi cofnąć się ode drzwi, poza któremi stoi mój mąż.

Rzucam się do pokoju dziecinnego, przypominając sobie, że pokój ten połączony z kuchnią ułatwi wyjście na ulicę.

W pokoiku tym pali się lampa zawieszona u sufitu. Jej łagodne światło oblewa niebieskie ściany i czyste białe firaneczki, zawieszone nad łóżeczkiem mej córki.

Ze zwojów białego muślinu uśmiecha się twarz Maryi Panny, a poza obrazkiem widać sporą rózgę, związaną błękitną wstążką.

Tak tu cicho, spokojnie, że szelest mego jedwabnego okrycia razi i przerywa

tę dziwną, prawie klasztorną ciszę. Zabawki porozrzucane drzemią w kątach, lalka w krakowskim gorseciku stoi oparta o ścianę. Koło pieca na wyplatanem krzesełku siedzi gruba czarna kotka i mruży oczy.

Dziwny to kącik, osłonięty od gwaru świata, ciepło w nim i błogo.

Mimowoli zatrzymuję się i zaczynam spoglądać dokoła. Nie miałam już dawno czasu rozejrzeć się w tym pokoiku.

Bony niema, wyszła widocznie na chwilę — gdzież ona? gdzież córka moja?

Nie widzę jej nigdzie, a przecież pragnę ją zobaczyć. Jakaś tęsknota nieokreślona ściska me serce — w tej cichej atmosferze maluchnego pokoiku serce me odczuwa potrzebę drobnej istotki, która tu życie swoje spędza.

Gdzież ona?

Jest, stoi koło ściany nawpół rozebrana, trzymając w rączce drewnianą laleczkę. Jeden pantofelek zgubiony leży na dywanie, a pończoszka spadła aż na piętę. Jasna, złota główka rysuje się blado na nikłem

tle obicia. Stoi przytulona do ściany, milcząca, z oczyma wlepionemi we mnie, taka mała i drobna, że prawie niknie w przestrzeni.

Oczy moje mimowoli jak przykute pochłaniają tę drobniutką postać i oderwać się od niej nie mogą.

Córeczka moja milczy, a tylko różowe usteczka drżą jakąś skargą niewyszeptaną.

Patrzę na nią, patrzę i odejść nie mogę.

Nagle, na długich ciemnych rzęsach zaświeciła łezka, błyszczy tam chwil kilka, a potem wolno zsuwa się po okrągłej twarzyczce, zostawiając po sobie lśniącą bruzdę.

Ta jedna łza mej dzieciny pada mi na serce rozpalonem żelazem. Gdyby dziecko krzyczało, płakało głośno, uciekłabym z pewnością; ale ta jedna łza — tak niema a przecież jak wymowna!. .

Mała dwuletnia dziecina stoi samotna, opuszczona i płacze cicho; skarży się bez słowa, bez krzyku.

Dlaczego ona płacze? dlaczego ona sama?

Płacę wszakże sługi, aby ją pilnowały. Jeśli jednak ja, matka, opuszczam ją i uciekam, jakże wymagać mogę od obcych wypełniania obowiązku?

Gdzie bona? Pewnie pobiegła na schadzkę z kochankiem.

Na schadzkę!...

Wszakże i ja mam iść na schadzkę!

Dlaczego nie idę, co mnie wstrzymuje? Co mi każe opóźniać chwilę rozkoszy?...

Wstrzymuje mnie jej *łza!*...

Jej czysta, srebrna łza...

I sama nie wiem, jak kolana uginają się podemną — klękam przed tą małą dzieciną i wyciągam ku niej ręce...

— Mamusia!

Już jest przy mnie, drobnemi rączętami obejmuje mą szyję, szepce coś do ucha. Jej delikatne włoski dotykają mej rozpalonej twarzy, czuję jej wątłe ciałko w mych objęciach. Gorącemi pocałunkami scałuję z tych błękitnych oczek ślady łzy,

tej łzy, która uratowała mnie od występku.

Zaświeciła mi nagle jak gwiazda wśród ciemnej nocy, przy jej świetle ujrzałam po raz pierwszy rzeczywisty spokój i szczęście na świecie.

Gdy bona powróciła, zastała mnie siedzącą na ziemi wśród stosu lalek, katarynek, krówek i tym podobnych bawidełek.

Uszczęśliwiona Helenka z zarumienioną buzią zgubiła drugi pantofelek, ale za to opowiadała mi zajmującą powieść o „komarze, co z dęba spadł.“

Czarna kotka w najlepszej przyjaźni usiadła tuż przy nas i zielonemi oczami przypatrywała się z wielką ciekawością drewnianej myszce, wyrzuconej z pudełka. Dobrze mi było, spokojnie i cicho.

Gdy dziecko moje, położone w łóżeczku, zasnęło trzymając mą rękę w swych drobniutkich dłoniach, odetchnęłam tak, jak po przebyciu ciężkiej, śmiertelnej choroby.

Chorą bowiem byłam, chorą na gorączkę, która mnie bezmyślnie pędząc wśród balowych salonów, omal nie wtrąciła w objęcia kochanka.

Łza mego dziecka mnie uratowała, łza stokroć silniejsza nad wszystkie kraty i przysięgi klasztorne — łza, której namiętność nawet zwalczyć nie potrafi.

Pragnęłaś mej spowiedzi — oto ją masz. Zachowaj ją dla siebie. Gdy wszakże do twej kraty zastuka obłąkana światem kobieta, gdy w oku jej dostrzeżesz pragnienie zakazanej rozkoszy, wskaż jej źródło ocalenia.

Jeśli ma dziecię, niechaj doń powróci, w obec łzy dziecięcia zamilknie chęć upadku w objęcia kochanka; zamiast występnych pocałunków — czysta pieszczota białego anioła zgasi ten ogień, jaki rozniecila muzyka balowa.

Na wszystkie pokusy świata najlepszą bronią taka srebrna, czysta łza!

SAM NA SAM.

Na dworze szaruga, wiatr świszcze, śnieg
[miecie,
Przy cieple kominka, co krzepi,
Chodź luba! Usiądziem! Zapomnim o świecie —
On o nas zapomni? Tem lepiej!
Jam z tobą, ty przy mnie, sam na sam, we dwoje
Godziny nam będą mijały.
Och! Na co mi, na co. kochanie ty moje!
Och! Na co mi, pytam, świat cały?

Dziś środa. Bal zatem. U księżnej, u starej,
W kapiącym od złota salonie,
Brzmi huczna kapela, taneczne mkną pary,
Namiętnie splatają się dłonie.

My splećmy też nasze! Choć cisza w około,
Balowe, gdym wspomniał ci szały,
Jak w walcu o pierś mą oparłaś twe czoło....
Och! na co mi, pytam, świat cały?

Dziś środa. W operze „Faust“ zatem Gounod'a
I Nilson wywodzi swe trele,
Więc fashion paryska, jak każe jej moda,
Bój zwodzi o lada fotele.
My w swoich, przy ogniu, gdy siądziem, bez sporu,
Ty nucisz słowiku mój mały!
Ja słucham twej piosnki w pomrokach wieczoru....
I na co mi, pytam, świat cały?

Dziś środa. Cóż jeszcze? A! Obiad proszony
U możnych tuż obok sąsiadów,
Więc sala ozdobna, więc kucharz wsławiony,
Więc wino, co pomni naddziadów.
A u nas, mniej szumnie Samowar na stole;
Włożywszy czepeczek swój biały,
Mój anioł nalewa, gosposi gra rolę....
I na co mi, pytam, świat cały?

Tam tany, tam śpiewy, tam huczne wiwaty,
Tłum masek przebiega ulicą,

Karnawał zwyczajnie, szalony, pstrokaty,
Nad ludną zawisnął stolicą --
Podajcie tu lampę, z Dickens'a dwa nowe
Przeczytam ci dzisiaj rozdziały,
Ty słuchasz z robótką, słodycze domowe;
Och! Na co mi, pytam, świat cały?

Już późno! Lecz miastu sen jeszcze nie w głowie,
A gdzie tam! wciąż figle a psoty!
Noc długa. Tem lepiej! Hulajcie panowie!
Co do nas... Aniołek mój złoty
Swą główkę powoli na ramię mi schyla,
I usta się nasze spotkały...
Darujcie! Lecz zwierzeń tu kończy się chwila....
Och! Na co mi, pytam świat cały?!

I. S. Chamiec.

Dla Chleba.

Góralu! czy ci nie żal
Odchodzić od stron ojczystych?...
Świerkowych lasów i skał,
I tych potoków srebrzystych,
Góralu! czy ci nie żal?...

Góral na lasy spoziera
I łzy rękawem obciera
I rzekł: — „ha darmo kiej trzeba!
Dla chleba panie, dla chleba "

Góralu; wróć się do hal
W chacie zostali ojcowie,
Gdy od nich pójdziesz w dal
Co z nimi stanie się — kto wie?...
Czyż ci starych nie żal?...

A góral jak dziecko wciąż płacze
Och może już ich nie zobaczę.
Ha, darmo paniczu, kiej trzeba!
Dla chleba panie, dla chleba.

Góralu! nie odchodź, oj nie!
Na wzgórku u męki boskiej
Tam płacze dziewcze twe,
Uschnie z tęsknoty i troski,
Gdy pójdziesz — nie odchodź, nie!

On zwiesił głowę i wzdycha:
— „Oj dolaż moja" — rzekł z cicha,
„I dziewkę porzucić trzeba
Dla chleba panie, dla chleba."

I poszedł z grabkami i kosą
W guńce starganej i boso,
Precz poszedł w doliny — w dal,
Góralu! żal mi cię, żal.

Michał Bałucki.

MAMY PANTOFELKI.

Miałam osiem lat wtedy i szalenie moją matkę kochałam. Kochałam ją nad wszystko w świecie, co się zresztą z biegiem lat nie zmieniło.

Miałam braci i siostry, kuca i wielkiego psa Niemoja, — wózki i ogródek, — domek w ogrodzie, gdzie się z lalkami na cały dzień latem wyprowadzałam — nie wielki był na zielono pomalowany, z czerwonym dachem, nie miał ani drzwi ani okien, ale był moim własnym więc go lubiłam.

Miałam mnóstwo innych zabawek. ale o tamte nie dbałam — lubiłam tylko te, któremi na świeżem powietrzu w ogrodzie bawić się mogłam. Już wtedy zima była dla mnie ciężką karą za grzechy. bo groziła zamknięciem i chmurnem niebem.

O ile latem byłam wesoła, ożywiona i dosyć sprytna, o tyle w zimie stawałam się leniwą i uśpioną. Latem duchów się nie bałam — zimą okropnie: smutny wiatr zimowy zdawał mi się zawsze czemś tajemniczem a groźnem, pozostającem w blizkich stosunkach z duchami.

Wtedy tylko czułam się zupełnie bezpieczną wieczorem, kiedy matka moja tuż obok mnie siedziała, — a szczytem rozkoszy było, kiedy śliczną jej białą, długą, delikatną rękę na swej głowie czułam.

Słyszałam nieraz ojca mego, gdy się nad ręką mamy unosił — kochał się specyalnem uczuciem w tej klasycznej sympatycznej dłoni. Ojciec imponował mi zawsze — jego zdanie, sąd jego, nie przypuszczał apelacyi — nie było nad niego

wyższej instancyi w domu, bo nawet mama posłuszną mu była.

Dlatego zachwyt ojca dla jej ręki napełniał mnie podwójnie wielkim zachwytem — a pierwsza kłótnia z moim kuzynem była, gdy śmiał twierdzić, że jego matka ma ładniejszą rękę. Uważałam to za najwyższą impertynencyę z jego strony.

Otóż wieczory zimowe spędzałam zwykle przypięta do fałd sukni mamy. Czasem śpiewała — ojciec jej akompaniował — śpiewała „Kalinę“, a ja płakałam, zanosiłam się nawet od płaczu w kącie salonu. O ile lubiłam śpiew matki, przepadałam nawet za nim, o tyle bałam się prawie, gdy się zbliżała do fortepianu; coś smutnego było w dźwięku jej głosu — a mnie ton każdy za serce porywał — ból mi sprawiał; pamiętam to dokładnie, choć do dziś dnia nie wiem, dlaczego tak było.

Póki byłam obok mamy, póty nie rozumiałam, że mogłoby być inaczej: dobrze mi było, bo ją widziałam — ale wtedy,

gdy odrywano mnie od niej, wtedy czułam, że ona mi była potrzebną do życia więcej niż powietrze, niż słońce, niż wolność. A odrywano mnie czasem na dzień jeden, aby mnie psuć, pieścić, obdarowywać cukierkami, zabawkami — ale wszystko wydawało mi się okropnem zdaleka od niej.

Jedno z najsilniejszych wrażeń, jakie odczułam, będąc dzieckiem, to gdy w smutny dzień listopadowy mama wyjechała. Obiecała, że za kilka godzin powróci; — robiło się coraz ciemniej, coraz wietrzniej, a jej nie było. Z desperacyą w sercu siadłam na ziemi przy kominku i co chwila na drzwi spoglądałam, czy nie wejdzie, a straszno mi się robiło, bez żadnego ważnego powodu.

Nareszcie zapytałam bony: czemu mama nie wraca?

— Jakto? — nie wiesz? Mama już nie wróci; byłaś niegrzeczną; poszła się utopić.

Musiałam być bardzo mała, kiedy takiej bredni uwierzyłam, ale uwierzyłam prawie.

Co się ze mną działo, gdym tak na ziemi siedząc, w ogień patrzyła, przypuszczając możliwość śmierci matki, tego opowiedzieć nie mogę Jak mogło takie dziecinne serce taki szalony ból, taką bezgraniczną rozpacz odczuwać, kiedy wspomnienie tej powolnej agonii, jaką przechodziłam w owej chwili, tak bardzo dawno temu, jeszcze dzisiaj tak wyraźnem echem odbija mi się w pamięci?

Mama wróciła, naturalnie, i pieszczotom nie było końca. Pamiętam i to, że wieczora tego kładąc się do łóżka, stojącego tuż obok mamy, przed zaśnięciem powtarzałam w kółko: „Aniele Stróżu, dziękuję ci, że mama wróciła".

Mama wróciła wprawdzie, ale mnie i siostrę moją starszą zabrano od niej — wtedy gdy osiem lat miałam.

Już się na wiosnę zanosiło, już z braćmi robiłam wiele projektów wypraw na

kucu, z zaprzęgiem z czerwonej taśmy na Niemoju, kiedy Helenka, siostra moja, powierzyła mi tajemnicę: „Pojedziemy do Poznania na pensyą do klasztoru“ i cieszyła się. Nie umiałam zdać sobie sprawy z następstw, jakie projekt ten za sobą pociągał Były chwile nawet, że imponowałam chłopcom braciom moim, ową pensyą, która mnie czekała.

Mama pieściła mnie jeszcze więcej — ale teraz pieszczoty jej nie wywoływały we mnie wesela tylko smutek.

Nadszedł dzień kiedy kufry nasze zapakowano, a ojciec siadł z nami do powozu i na najbliższy dworzec kolei nas odwiózł. Mamę zostawiliśmy w domu.

Nie pojmowałam całego ogromu mego nieszczęścia, bo sobie z czasu sprawy nie zdawałam, a dotąd nigdy dłużej nad dzień jeden z matką się nie rozstawałam.

Marzec miał się ku końcowi, — nad wieczorem stanęliśmy w Poznaniu. Ledwie wjechaliśmy w mury miasta, a już mnie tęsknota schwyciła za gardło. Śnieg dużemi

płatami spadał z nieba; przypomniało mi się, co mi niańka mówiła; — śnieg to szarpie, które anieli w niebie skubią i rzucają na ziemię.

Ileż razy żałowałam później, że szarpie te nie mogą ludzkich ran zagoić i że anieli drą je tylko dla zabicia czasu!

Ojciec odwiózł nas prosto do klasztoru. Sam widok ciężkich drzwi klasztornych i zakratowanych okien zgrozą mnie napełnił. Schwyciłam silnie rękę ojca i postanowiłam ręki tej nie puścić.

Gdy zawarła się za nami klasztorna furta, gdy wpuszczono nas za drugą ciężką bramę, do długiego ciemnego korytarza, zdawało mi się, że wybiła moja ostatnia godzina.

Przełożona w swojej żałobnej sukni przyjęła nas serdecznie, ale mnie uśmiech jej mroził. Krew we mnie drętwiała — jak przez mgłę patrzałam na wszystko; jedno tylko wiedziałam: że mnie tam ojciec zostawić nie może, — niepuszczę go.

Wstał, aby odejść; schylił się, chcąc mnie pocałować; ja mu obie ręce na szyję

zarzuciłam i konwulsyjnie ściskałam, błagając, aby mnie z sobą „zabrał do mamy, do mamy!"

Przemocą prawie wyrwał się z moich rąk dziecinnych, a tak silnych rozpaczą w owej chwili — i poszedł.

Zaczęły się dni krzyżowe dla mnie. — Czułam się pewnie o wiele nieszczęśliwszą od dzieci głodnych, zziębłych i obdartych. Oderwano mnie od matki i zamknięto.

Gdyby rodzice moi choć w części mogli przypuścić co się działo w duszy dziecka, nigdy nie byliby popełnili takiego okrucieństwa. Wspomnienie to rzuca cień na moje dziecinne lata.

Chorowałam, — lekko wprawdzie, niedostatecznie, aby rodzicom donosić o tem, ale dość, aby ani módz uczyć się, ani jeść, ani sypiać nawet. Chorobą moją była tęsknota bezmierna.

W kilka miesięcy doniósł nam ojciec, że mamy małego braciszka — że mama była chora, ale że zdrowa już prawie i że gdy tylko będzie się mogła ruszyć, przy-

jedzie do nas. Oczekiwanie mamy osładzało teraz każdą chwilę i trochę znośniejszym zdał mi się pobyt w klasztorze.

Przyjechali rodzice oboje. Była to jedna z największych radości w całem życiu mojem. Oddano nas mamie na tydzień cały — byłyśmy z nią w cyrku, w operze — żyłam w jakimś zaczarowanym świecie, jak w bajce. O klasztorze nie myślałam. Dzień każdy pozostał w pamięci mojej, jak rajskie wspomnienie.

Ale znowu kufry zaczęto pakować — nowe rozstanie mnie czekało. Tym razem jednak nie chowałam na dnie duszy mojej rozpaczy, tylko łkając, błagałam by mnie w klasztorze nie zostawiano. Mama mnie uspokoiła, mówiąc, że czas jeszcze myśleć o tem Wieczorem czulej niż zwykle ucałowała mnie na dobranoc.

W hotelu miałyśmy pokój obok rodziców. Nazajutrz rano, gdym się obudziła, jakieś złe przeczucie mnie tknęło; pobiegłam do pokoju mamy — pusty! Krzy-

knęłam — Helenka obudziła się. Ale nie wierzyłyśmy obie naszemu nieszczęściu. Nagle Helenka obok łóżka mamy znalazła jej pantofelki. Te pantofelki do śmierci pamiętać będę; — na nich skoncentrowała się moja cała nadzieja. Kiedy pantofle są, to i mama być musi. Nie mogła przecież odjechać bez swoich rannych pantofelków — myślałam. Tak samo rezonowała Helenka.

Tymczasem cicho było. Rodzice nie wracali, gdy ja spodziewałam się ciągle, że może ze mszy św. z miasta powrócą.

W najokropniejszych emocyach, trzymając ciągle pantofelki mamy w ręku, przeżyłam jedną godzinę, która mi się wiekiem wydała.

O dziesiątej rano weszła nauczycielka z klasztoru, aby nas zabrać, tłumacząc, że mama pojechała, ale nie chciała nas budzić i martwić pożegnaniem. Że mi wtedy serce z żalu nie pękło, to tylko dlatego, że nie ból je rozsadza; — dużo później cierpiałam, ale myślę, że nigdy

tak głęboko, tak doktliwie, jak dnia tego.

Pantofelków matki mojej nie pozwoliłam sobie odebrać; całowałam je, ściskałam i spałam z niemi, choć się ze mnie pensyonarki śmiały.

Widocznie, cierpienie było już nad siły moje, bo wkrótce potem na dobre się rozchorowałam.

Febra wycieńczyła mnie i uczyniła niezdolną do niczego. Mama przyjechała po mnie, bo i wakacye się zbliżały a ja o egzaminie myśleć nie mogłam.

Wróciłam do mego raju w dzień słoneczny — bracia, kuc, Niemój i łan truskawek czekały na mnie. Skończyła się pierwsza faza tęsknoty mojej, bo już nie prędko na pensyą mnie oddano; mama nie chciała puścić mnie od siebie.

Tyle, tyle łez popłynęło od tego czasu — tyle nieszczęść, że możnaby z nich różaniec ciernisty spleść. A między każdym dziesiątkiem cierniowych gałeczek

jedna gałka duża, najbardziej kolcami pokryta — to tęsknota Pożerała mnie, serce moje trawiła jak pijawka, krwią jego żyjąc. Tęsknota za matką była głównem cierpieniem życia mego; najserdeczniejsze łzy, potoki łez z oczu moich płynęły zawsze z tęsknoty

Ile razy spojrzę na mamy pantofelki, tyle razy przypomina mi się pierwszy okres cierpienia. — Stały się one dla mnie emblematem tęsknoty.

Esteja.



OSTATNI PORANEK.

SONET.

Za chwilę a świat cały w mem sercu się [zmieni
I jak przed burzą cisza nastanie złowroga
Samotności przed nami odsłoni się droga,
Bez gwiazd blasku, bez jutra, bez słońca pro- [mieni.

— Żegnam cię! chociaż mrą mi na ustach te [słowa,
— Do widzenia! choć i w tych rozstanie się [mieści.
Za chwilę czas odjazdu swój wyrok obwieści
I rozłączenia przyszłość stanie nam cierniowa.

A niebo takie jasne, też same błękity,
Ten sam błysk fali zwinnej, co chyżo w dal
[leci,
Też same kwiatów barwy i bujne rozkwity.
Lecz w sercu pająk smutku już snuje swe
[sieci,
Budzi się zwolna robak zwątpienia ukryty...
O, kiedyż, powitania słońce nam zaświeci?...

M.

Jest chwila gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą;
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
I o czem cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi blady pierścionek Dyany:
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny;
O takiej chwili ach dwa serca płaczą,
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
Jeżeli o czem zapomnieć — zapomną.
O takiej chwili z moją panią skromną,
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

Juliusz Słowacki.

WNUCZEK.

Na trzeciem piąterku w małym lecz schludnie utrzymanym pokoiku, leżała kobieta piećdziesięcioletnia z oczyma przymkniętemi. Na jej twarzy widać było, że nie lata lecz troski przebyte skróciły jej życie. Przy łóżku, u jej nóg klęczała młoda dziewica z miłością w jej rysy schorzałe zapatrzona, w ręku trzymając książkę do nabożeństwa. Widać że z matką przed chwilą modliły się razem i chora osłabione oczy jakby do snu przymknęła. Naraz drzwi z trzaskiem się otworzyły i służący teatralny zatrzymał się na progu.

— Panno Cecyljo — rzekł cichym głosem — wszyscy już na próbę się zeszli, na panią tylko czekają, a pan kapelmistrz strasznie się złości.

Dziewica powstała jakby na wpół senna.

— Mój Boże! jakżeż mamę samą zostawić?

— Idź dziecię — przemówiła chora — mnie nic nie potrzeba, prócz spokoju. Zresztą za godzinę lub dwie wrócisz, tymczasem Bóg się mną opiekować będzie.

Cesia prędko się zebrała, a ucałowawszy ręce matki, z oczyma łez pełnemi ku drzwiom się zwróciła.

— Weź klucz ze sobą Cesiu i bądź o mnie spokojną dziecino — dorzuciła chora.

Córka pokój zamykając, przycisnęła ręką serce.

— O Boże! — szepnęła — cóż to za straszna niewola, iść śpiewać, gdy serce pęka z boleści.

Po jej odejściu matka wyciągnęła ręce ku niebu

— Co się z nią stanie po mej śmierci? — jęknęła — Jam już tyle wycierpiała, że gdyby nie trwoga o los mej dzieciny, z radością śmierci bym wyglądała.

Matka Cecylii była wdową od lat piętnastu. Ojciec jej bogaty kupiec, skompromitowany politycznie w r. 1846, za karę został wzięty w rekruty. W domu zostawił młodziutką żonę z Cesią maleńką przy piersi; ze zgryzoty i w więzieniu zdrowie stargawszy, umarł w lat kilka. Cesia ojca nie pamiętała. Matka zostawiła magazyn pod zarządem dawnego pomocnika męża, lecz ten nadużył jej zaufania, tak że biednej kobiecie został ledwie kapitalik wynoszący kilka tysięcy. Z małego procentu i swej pracy łożyła na skromne utrzymanie i wykształcenie Cesi, która będąc dzieckiem uroczem o włosach ciemnych i oku szafirowem, zdradzała nadzwyczajne zdolności muzykalne. W latach piętnastu, głos jej sopranowy, miał już

tyle siły i rzewności, że przepowiadano jej świetną przyszłość. Matka naruszyła niewielki kapitalik, by córkę ostatecznie wykształcić w śpiewie i w Paryżu przygotować do sceny. Po czterech latach pracy, Cesia jako ukończona artystka miała pierwszy raz na scenie wystąpić. Matka z egzaltacją, właściwą Polkom, nie chcąc by córka debiutowała na obcych scenach, powróciła do kraju. Tu ze zgryzot zwątlone siły poczęły ją opuszczać. Zachorowała obłożnie. Młoda zaś dziewica przyjęła miejsce w teatrze, z płacą jaką jej dyrektor naznaczył, wyboru bowiem nie miała O! ciężko to, na ojczystej scenie, szukać chleba, bez sławy wpierw już zdobytej!... A płaca, którą dyrektor może ofiarować nieznanej artystce, jest tak małą, że częstokroć na toalety nie wystarcza. Cesia zaś nie przyjmowała ofiar, które by jej dobrej sławie szkodziły. Z licznych jej adoratorów, jeden tylko Zygmunt Czarnecki, dowiedziawszy się o przykrem położeniu Cesi, o chorobie jej

matki, i tysiącznych kłopotach, w których biedne dziewczę rady sobie dać nie mogło, przedstawił się jej matce, prosząc by mu pozwoliła w domu bywać i być im pomocnym w drobnych przynajmniej rzeczach. Tego mu zakazać nie mogła, zwłaszcza iż wiedziała, że to chłopiec zacny, na którego prawy charakter liczyć mogła. Jego uczucie dla Cesi było czyste i szczere. Zresztą znajomych nie miały, a młode dziewczę odchodziło tylko od chorej matki, by do teatru na przedstawienie się udać. Zygmunt chodził gdy potrzeba było dla chorej po lekarza, znosił książki, które wieczorami paniom czytał i opiekował się Cesią, ilekroć późno w nocy z teatru wracała. Ale i w tem był nadzwyczaj uważnym. Ilekroć był w towarzystwie młodych ludzi, których złośliwe uwagi mogły szkodzić dobrej sławie Cesi, nie odprowadzał jej sam jak zazwyczaj, tylko polecał opiece starego Grzegorza, służącego ojca, który go od małego dziecka wypiastował i kochał panicza nad

życie. Ten w brzydki czas wsadzał Cesię do fiakra i siadał na koźle, pilnując by się panience co złego nie stało, lub też szedł za nią aż do drzwi jej kamieniczki, często napominając, by panienka lepiej się zawinęła, bo wiatr mroźny, a przeziębić się nie trudno.

Zygmunt był synem dumnego magnata, który zadosyć czyniąc dzisiejszym wymaganiom, chciał by syn, zanim obejmie rozległe dobra, wprzód ukończył prawa. Zygmunt był już na czwartym roku. Ojciec jego nie mieszkał na wsi; od śmierci żony, kupiwszy piękny pałac w stolicy, przeniósł się tam ze synem. Do majątków swych jeździł tylko kilka razy do roku, a jednak dzięki jego energji, administracja szła wzorowo, wszędzie panował ład i dobrobyt. Syna kochał namiętnie, był jednak zawsze surowym i nieugiętym. W jedynaku pokładał świetne nadzieje, upatrując dlań wcześnie żonę między dziewicami z najpierwszych rodzin. O innym związku ani byłby sobie pozwolił wspomnieć. Zyg-

munt mówił nieraz Cesi i jej matce, że gdyby nie duma ojca i jego wola nieugięta, czułby się najszczęśliwszym, gdyż prędko nazywałby ją swoją żoną. Cesia odpłacała mu uczuciem za uczucie, i chociaż tysiące razy sobie powtarzała, że jego żoną nie będzie, serce odpowiadało, że nie chce należeć do innego. Matka widziała walkę córki, nie dziw więc, że w przededniu śmierci trwoga o los Cesi serce jej przejmowała.

Po ukończonej próbie, Cesia wróciła do domu; biedne dziewczę z sercem niespokojnie bijącem na palcach weszło do pokoju. Matka leżała śmiertelnie blada; podczas nieobecności córki znacznie jej się pogorszyło.

Cesia przerażona do nóg jej przypadła.

— O! matko moja, tobie gorzej, może wezwać lekarza? — wybuchnęła gorzkim płaczem.

— Uspokój się dziecię, mnie tak dobrze jak jeszcze nigdy nie było. W tej chwili

czuję nawet, że i ty będziesz szczęśliwą. Bóg nie opuści sieroty bez ojca i matki.

— O! nie mów tego matko, ty żyć będziesz, pojedziemy do Włoch, do Francyi, oddana sztuce, stłumię uczucie, które mi dziś serce rozpiera i będziemy razem szczęśliwe. Bóg nie dopuści, żebym samą na świecie została.

W tej chwili drzwi cichutko odchylono i Zygmunt Czarnecki zbliżył się do łoża chorej; zobaczywszy jej rysy zmienione, pochylił się i z czułością synowską jej rękę ucałował.

— Pozwoli pani, żebym posłał po lekarza? — zapytał.

— Dobrze! dobrze — zawołała Cesia rękę podaną serdecznie ściskając, — tylko prędko, bo mamie znacznie gorzej.

— Nie potrzeba — chora słabym, lecz stanowczym głosem odrzekła — raczej poszlij, jeśli łaska, po księdza. Bóg ci to wynadgrodzi mój synu.

Zygmunt wydał stosowne rozkazy czekającemu w kuchence Grzegorzowi,

sam zaś do głębi wzruszony wrócił do pokoju.

— Zbliż się mój synu — chora przemówiła — niech cię pobłogosławię za wszystko, coś dla nas uczynił i wypowiem co mi na sercu cięży... Tyś dobry, szlachetny, piękny, ale młody, bardzo młody... Cesia kocha cię całem sercem, zostanie nie długo samą na świecie... Bóg tylko opiekować się nią będzie... Przysięgnij mi synu, że pamiętać będziesz o dobrej sławie Cesi...

— Przysięgam ci matko, że Cesia zostanie moją żoną!...

Za drzwiami dał się słyszeć dzwonek zapowiadający przybycie kapłana.

Oblicze chorej jaśniało radością nadziemską. W godzinę później Bogu ducha oddała, trzymając w swej dłoni połączone ręce Zygmunta i Cesi.

II.

Zygmunt dotrzymał przysięgi. Mimo gniewu ojca, który go za to wydziedziczył,

poślubił Cesię. Ojciec od tej chwili zakazał by ktokolwiek z domowników o nim wspominał, a przyjaciołom zaś, którzy próbowali gniew jego złagodzić, mówił „że niema syna“.

Zygmunt cierpiał tem bardziej, że ojca kochał i szanował. Sądził też, że gdy rzecz będzie nieodwołalną, ojciec da się przebłagać; tymczasem ten od dnia ślubu syna więcej widzieć nie chciał. Dowiedział się tylko Zygmunt, że w najwyższem rozżaleniu wyrzekł: „Jeżeli przeciw mej woli się żeni, nie dbając ani o ojca, ani o majątek, widocznie żonę sam potrafi utrzymać!“ Syn chcąc mu więc dowieść, że nie dla majątku błagał go o przebaczenie, wyjechał z żoną do Drezna, by ciężko na chleb pracować. Nie łatwo jednak człowiekowi przyzwyczajonemu do zbytków, obejść się bez nich, a szczególnie gdy po życiu wystawnem częstokroć na skromny posiłek nawet nie wystarcza. To też w pierwszym roku, kiedy prawie z nę-

dzą walczyć musieli, Zygmunt robił sobie gorzkie wyrzuty.

— Cesiu najdroższa — mówił — patrz jakem cię uszczęśliwił... przysiągłem twej matce, że opiekować się tobą będę, a dziś nie masz co jeść. O! jakaż ironja mieściła się w słowach mego ojca, gdy mówił, że widocznie żonę sam potrafię utrzymać. Snać widział, żem niedołężny, nienauczony pracować, to też za karę chciał, bym to wszystko przeszedł, co dziś cierpię.

— Zygmuncie! — odpowiadała Cesia, której wyrazy męża serce raniły — to jam wszystkiemu winna, nie przyniosłam ci szczęścia, wdarłam się do waszej rodziny, pogardzona śpiewaczka, a dziś muszę patrzeć jak zgryzoty cię niszczą, jak mój ubóstwiony cierpi przezemnie. O! czemuż zwyciężona twoją miłością, sama kochając cię nad życie, zezwoliłam na nasze małżeństwo, czyż nie lepiej gdybym była wyjechała za granicę, trawiona tęsknotą za tobą, już do dziś byłabym się z matką złączyła, a ty może byłbyś szczęśliwszym.

— O! Cesiu nie mów tego. Słowo nierozważne może mi się w rozdrażnieniu wyrwało, lecz ty wiesz, że bez ciebie, nie byłoby szczęścia dla mnie na ziemi, tyś mem słońcem, moją gwiazdą przewodnią, a gorzkie słowo tylko miłość dla ciebie mi podyktowała. O! bo ja cię bardzo, bardzo kocham...

W pierwszym roku często tak się Zygmunt zrywał, do ojca kilka razy pisał, listy wracały jednak nie tknięte. To go bolało, drażniło

Cesia z trudnością nieraz uspokajała męża, ukrywając na dnie serca własne cierpienie.

W rok dał im Bóg syna.

— O! dziecię moje! — ojciec w uniesieniu błogosławiąc mu zawołał — ty przebłagasz gniew dziadka, przywrócisz sławę naszemu rodowi! Synu mój, niech cię Bóg błogosławi.

III.

Lata szybko mijały. Od urodzenia małego Zbisia wiele się zmieniło w domu

naszych przyjaciół. Wprawdzie i dziś nie było tu dostatku, lecz i biedy się nie widziało. Zygmunt dawał lekcje w pensjonatach; do Cesi przychodziły panienki na godziny śpiewu i fortepianu, tudzież języka francuzkiego i włoskiego. Zbiś był duszą całego domu. Dziś już troska nie spoczywała na czole ojca, ani łza nie kręciła się długo w oku matki, dziecię bowiem napełniało radością całe pomieszkanko i patrząc na tego aniołka, nadzieja w serce rodziców wstępowała Cesia miała świetne propozycje jako śpiewaczka, ale je odrzuciła Zygmunt nie byłby się nigdy zgodził, aby występywała na deskach teatralnych, raz by nie drażnić ojca, a zresztą nie chciał pozwolić, żeby bóstwo jego, tę żonę, którą czcił jak świętość, podziwiano lub krytykowano za pieniądze: wolałby był znosić głód i nędzę, niż widzieć matkę swego dziecięcia sprofanowaną tysiącznemi uwagami.

Z kraju miewali wiadomości od przyjaciół i od poczciwego starego Grzegorza,

który cierpiał bardzo, rozstawszy się z „kochanym paniczem“. „Tak u nas smutno jak w grobie — pisał przywiązany sługa — nasz pan postarzał się bardzo, taki nieraz smutny, że aż człowiekowi bolesno patrzeć, a przecież o Paniczu nieda wspomnieć, tylko gdy ze wsi wraca, powiada nieraz do mnie: Widzisz mój Grzegorzu, szkoda że pracuję, nie mam jednej duszy na świecie, któraby mnie kochała, umrę samotny, jak samotne jest życie moje. — Gdy chcę, korzystając ze sposobności coś o Paniczu napomknąć, ofuknie mnie tylko i drzwiami trzaśnie, a jednak widzę nieraz jak łzę ukradkiem ociera. O! jak to inaczej było za dawnych czasów. Bywało za życia nieboszczki Pani, Panie świeć nad jej duszą! jak dam Zygmusiowi małą szabelkę, a on zacznie nią wywijać, rąbać stoły i stołki, to Pani nasza śmieje się serdecznie, a Pan wziąwszy syna na ręce: — Widzisz żońciu — powiada — jakiego mamy jedynaka. Już później nawet, po śmierci naszej Pani, gdy Panicz ze szkół z pię-

knemi świadectwami wrócił, to Pan całując jego główkę z taką dumą i radością nań patrzył, że aż człowiekowi serce rosło. Oj! żeby to nasza święta Pani żyła, wszystko by inaczej było. O jedno już tylko Boga proszę, bym mojego Paniczusia jeszcze przed śmiercią zobaczył i maleńkiemu Zbisiowi wystrugał szabelkę, ale nie wiem czy doczekam tej szczęśliwej chwili, bom co dzień słabszy, już mi się nie wiele należy".

Istotnie był to już ostatni list poczciwego Grzegorza. Zygmunt niemając dłuższy czas wiadomości od niego, prosił jednego z przyjaciół, by mu doniósł co to znaczy i dowiedział się, że staruszek usnął pewnego dnia jak kureczka, by się więcej nie zbudzić.

Od tej chwili tęsknota za ziemią rodzinną jeszcze się zwiększyła u Zygmunta. Teraz miał znowu nadzieję, że po tylu latach ojciec mu prędzej przebaczy, zresztą Zbiś ukończył już rok ósmy, trzeba go było zatem do szkoły zacząć posyłać. To

ostatecznie go zdecydowało i z bijącem sercem wrócił do kraju.

Tu przyjechawszy, zaczął starać się o miejsce w Wydziale krajowym. Cesia otrzymała kilka lekcyj. Zygmunt tymczasowo pisywał korespondencje do dzienników, tłumaczył powieści i przy usilnej pracy wystarczało im na skromne utrzymanie. Żyli cichutko, prawie w ukryciu, nie chcąc by o nich ktokolwiek wiedział. Zygmunt chciał już kilka razy pójść rzucić się do nóg ojcu i błagać o przebaczenie, lecz tyle doznanych zawodów, a szczególnie myśl, że mógłby być posądzonym o chciwość, wstrzymała jego kroki.

Zbiś chodził do szkoły i uczył się dobrze.

Rodzice nad życie go kochali. Mimo że chłopaczek miał dopiero lat ośm, był nad wiek rozwinięty, dzięki ciągłemu obcowaniu ze starszymi i nieraz pytaniami swojemi rodziców w kłopot wprowadzał.

Gdy dnia jednego wracał ze szkoły, z bukiecikiem fijołków w ręce, zobaczył, że przechodzącemu staruszkowi wypadła z kieszeni tabakierka z drzewa rzeźbiona. Podniósł ją, podbiegł, a zdejmując grzecznie kapelusik:

— Zdaje mi się, że pan zgubiłeś to pudełeczko — rzekł.

Staruszek odwrócił się szybko, wziął tabakierkę z rąk dziecka, a chowając przycisnął do piersi.

— To dar syna mego — wyszeptał wzruszony — gdy był takim jak ty chłopaczkiem, wyciął mi ją nożykiem. Dziękuję ci dziecię kochane — zwrócił się do Zbisia i pogładził jego ciemne kędziorki. Chłopaczek z uszanowaniem rękę jego ucałował.

Nieznajomy ujęty serdecznością dziecka, idąc wszczął z niem rozmowę.

— Gdzie idziesz moje dziecię?

— Wracam ze szkoły. Ja codziennie chodzę do szkoły, a widzi pan jakich dziś

nazbierałem fijołków.. toż to się mamusia ucieszy... O! ja się muszę dobrze uczyć proszę pana, bo tatuś zawsze powiada: „ucz się dobrze mój synku, żebyś kiedyś na chleb mógł zapracować". A mamusia także by płakała, jeżlibym się źle uczył, a ona taka dobra. Mnie by było bardzo przykro, bo ja mamusię bardzo kocham — trzepało dziecko.

— Jak się nazywasz chłopaczku?

— Zbigniew Czarnecki

— Co? Czarnecki?

— Tak proszę pana, a mój tatuś Zygmunt Czarnecki.

— Mój wnuk? — staruszek za serce się chwycił, o mur się opierając, by nie upaść.

— Co panu? — pytało dziecię — może pan słaby? Ja panu rękę podam.

— O! dobrze, daj mi twą rączkę — mówił starzec ocierając łzę po twarzy

spływającą, a przyciągnąwszy Zbisia do swej piersi, okrył jego główkę pocałunkami.

Chłopczyk zdziwiony tulił się do jego łona.

— Ten pan musi być bardzo dobry — myślał — biedny płacze — i jemu łza w oku się już kręciła.

— A masz ty babkę, dziadka? — pytał nieśmiało staruszek.

— Nie, babci niemam, a dziadzia też nigdy nie widziałem, ale gdy z mamusią pacierz mówię, to zawsze Boga prosimy, żeby dziadzio był zdrów, szczęśliwy i na tatusia przestał się gniewać... Wtedy mama i tatko nieraz zapłaczą, a i mnie bardzo, bardzo smutno.

— O! — jęknął staruszek — gdzie mieszkają twoi rodzice, dziecię drogie?

— Właśnie dochodzimy do naszego domku.

— Prowadź mnie do nich, dziecię, prowadź jak najprędzej!

— Dobrze, proszę pana tędy, mieszkamy w oficynie na piąterku

Starzec pobiegł za dzieckiem, jakby mu się dwadzieścia lat wróciło

Za chwilę Zygmunt i Cesia klęczeli u nóg ojca, który ich błogosławił, tuląc do siebie wnuka, sprawcę tego szczęścia.

NIENAWIDZĘ.

NOWELLA.

Pan Stefan Borczyński zaczął się już niecierpliwić.

Znów spojrzał na zegarek: skazówki posuwały się wolno po ciemnym cyferblacie, obojętne na wszelki pośpiech i niecierpliwość.

Tik — tak, tik — tak...

Młody dziedzic Borczyna schował zegarek do kieszonki, siadł na skórzanym szezlongu i wziąwszy w rękę leżący opodal na stoliczku wachlarz z liścia palmowego, zawzięcie chłodzić się począł.

— Cóż u djabła! — myślał — wuj nie przyjechał, czy co?

— Od stacyi do Borczyna cztery mile; o siódmej powinien już tu być! — Wątpię, aby wprost do siebie pojechał; mojemi

końmi walić bez pozwolenia ośm mil! — ruszył ramionami.

— Facecya! wuj na to za delikatny. Ale też upał dzisiaj arabski! — uf! — nie wytrzymam!

Wstał i poszedł do otwartego okna.

Gorąco było jeszcze na dworze po upalnym dniu czerwca, ale od traw ścielących się na okrągłych klombach pod oknami wiejskiego dworku, od rzeczki płynącej opodal, od pól rozległych, co na pochyłości ciągnęły się widoczne dla oka, het aż pod sam las, — podnosić się zaczynało chłodniejsze nieco, ożywcze powietrze letniego wieczoru.

Pan Stefan usiadł na niskim parapecie okna i popatrzył w dal.

— Jak ten jego Borczyn podniósł się w ostatnich latach! Nieboszczyk ojciec aniby go poznał... Las gęsty jak zagajnik, staw zarybiony do dwóch tysięcy rubli przysparza rocznie gospodarstwu, a pola i łąki i bydło, no! to przedmiot zazdrości wszystkich sąsiadów na dziesięć mil w około!

— Ciekawa rzecz, jak się też wujowi udało z wełną? przywiezie tysiąc rubli, jak obiecywał, czy nie? Ten wuj to magnacki człowiek! — myślał w dalszym ciągu pan Stefan, o futrynę okna opiera-

jąc jasną czuprynę Odkąd wrócił z zagranicy, po której włóczył się jak cygan, odkąd tu w sąsiedztwie Borczyna osiadł i do gospodarki się wziął: odtąd i Borczyn jak na drożdżach podrastać zaczął. Jakoś tak raz, dwa, trzy, za radą wuja poszło wszystko składnie! nie wiele nawet pieniędzy pożyczył siostrzeńcowi, a już się wszystko zmieniło jak w kalejdoskopie...

— Bogiem a prawdą, to i niemała zasługa jego samego; od trzech lat siedzi w swoim Borczynie, jakby w ziemię wrósł: do Warszawy ani zajrzy, od ludzi stroni, nigdzie nie bywa, co najwyżej do miasteczka pojedzie na winta do proboszcza i na tem koniec.

Niby głupie życie, — nawet dobrze głupie, ale — pal sześć! Borczyn na tem korzysta. Niczego mu już teraz nie brak, najwyżej chyba pani domu, ale się bez niej tak pan Stefan, jak i jego wioska doskonale obejdą!

— Ale! .. zaraz!... pani domu!... — i pogardliwie ruszył ramionami.

W tej chwili z lasu na drogę, prościutko przez pola biegnącą aż pod sam dworek Borczyna, wjechała parokonna bryczka.

Daleko była ona jeszcze od oczów pana Stefana, ale on już ją dostrzegł, poznał

swoje śliczne kasztany, czerwoną czapkę Pietrka i słomiany kapelusz wuja.

Zeskoczył więc z okna i wybiegł do sieni wołając:

— Agata! podać kolacyę! pan już jedzie!

— Migiem! prose jelemoznego dziedzica! — ozwał się z za drzwi kuchennych silny bas Agaty.

Pan Stefan wszedł na ganek w chwili, gdy Pietrek, siarczyście trzasnąwszy z bata, przed dworek zajechał i kasztany na miejscu osadził.

— Jak się masz! Stefek! — słomianym kapeluszem wymachując w powietrzu, zawołał wuj. Pewnieś piorunował na to opóźnienie! Ale widzisz, na stacyi zobaczyłem Żabińską, niespodziewanie do domu z Warszawy przyjechała. Naturalnie koni po nią z Żabina nie przysłali; babina była w kłopocie, a że to od Borczyskiej szosy do Żabina tylko trzy wiorsty w bok, więc jej twoje konie ofiarowałem!

Pan Andrzej Wyżyna recytował to wszystko, powoli schodząc z bryczki, oczyma tylko manewrował tak, aby ani razu nie spotkać wzroku młodzieńca, który zbiegłszy ze schodów, pomagał wujowi wysiąść. —

— Po pierwsze, mój wujaszku, nie piorunowałem, a po drugie bardzo wdzięczny

jestem za tę nie wielką przysługę, oddaną mojemi końmi pani Żabińskiej, bom jej i tak wiele dłużny za pomoc przy zeszłorocznym pożarze stodoły!

Pan Stefan ucałował wuja w oba rumiane policzki, a potem zawołał:

— Pietrek! a nie poić tam kasztanów, bo zgrzane!

Skoczył na schody ganku za wujem i pomógł mu zdjąć płócienny płaszcz i torbę skórzaną przewieszoną przez ramię.

— Cóż, wujaszku, wełna poszła?

— Ho, ho! ucieszysz się! Tysiąc dwieście dali!

— E!

— Dalibóg! ogromne powiadam ci, były ceny! niewiele jakoś zwieźli a kupców — chmara!

Pan Stefan ucieszył się okrutnie, aż mu niebieskie oczy zabłyszczały i płowa czupryna zatrzęsła się nad czołem.

— Wujaszku! ja bo mam w wujaszku skarb! I z domu nie wyjeżdżałem i Warszawa mnie nie widziała, i wełna sprzedana wyśmienicie.

— No, a cóż mi za to wszystko dasz? — pod boki się biorąc i filuternie na siostrzeńca patrząc spytał pan Wyżyna.

— Najpierw, wujaszku, kolacyę jak od

Stefka, a potem spanie wyśmienite w moich kawalerskich betach!

— Idź, gałganie, z twojemi kawalerskiemi betami! mnie już moje własne obrzydły! Żebyś to choć miał żonę, — dalibóg weselej byłoby w naszych wioskach...

Pan Stefan się oburzył.

— Co też to wujaszkowi do głowy przychodzi! jeszcze czego! człowiek by ani chwili spokoju nie miał... — ruszył pogardliwie ramionami — Brednie! Ot, wie wujaszek co zrobimy?

— No?

— Kiedyśmy wełnę tak doskonale sprzedali, kiedy i zbiory zapowiadają się nie najgorzej, to — machniemy się we wrześniu za granicę! Co?

Pan Andrzej odetchnął głęboko, jakby mu coś z pod serca nagle wyrosło, odsapnął i rzekł:

— Do Włoch! Stefku!

— Do Włoch — powtórzył siostrzeniec i chciał już do jadalnego pokoju biedz, kiedy go wuj zatrzymał, rozpostarł przed nim ramiona i zawołał głosem jakby zdyszanym:

— Stefku! daj pyska!

Rzucili się sobie w objęcia i ucałowali.

Do przedpokoju wbiegł wiejski chłopak i krzyknął na całe gardło:

— Prose jelemożnych panów, kolacyje już podałem!

Wuj i siostrzeniec przeszli do jadalni.

Na stole zastawionym wiejskimi przysmakami dymiła się z półmiska baranina i młode kartofle.

Pan Stefan sięgnął do kredensu po wódkę, nalał duży kieliszek pomarańczówki, wychylił go odrazu i podał napełniony znów kieliszek wujowi.

— Na pomyślność naszej podróży! — zawołał

— Na pomyślność!

Zasiedli obaj do stołu.

— A zatem, Stefku, we wrześniu jazda! co? — kładąc na talerz ogromny kawał baraniny — zawołał z niekłamaną radością w głosie pan Wyżyna.

— Naturalnie, należy się to nam słusznie.

— Racya, racya. Człowiek to tak jak ziemia co kilka lat musi wypocząć, potrzeba mu choć paru tygodni ugoru, aby znów mógł bujne plony wydawać! My lat cztery pracowaliśmy jak woły w jarzmie; twój Borczyn podrósł, moje Marchwice wzorowe, naco nas stać było, tośmy robili! teraz po zapłatę rękę można wyciągnąć!

— Ho, ho! wujaszek słuszność takiej zapłaty dowiódłby zawsze.

— A nie inaczej, to mój nawet obowiązek świat poznać! I ja ci powiadam, chłopcze, niechby ludzie na wszystkiem oszczędzali, byle im na najmniejszą, choćby najskromniejszą wystarczyło podróż; byle mniej na siebie, a więcej na świat w około patrzyli – to, jak Boga kocham, lepiejby się na ziemi działo: i ludzie szczęśliwsi by byli — i weselsi i, co najważniejsze — rozumniejsi, ot. co!

Pan Stefan zaczął się śmiać.

— Wujaszek po swojemu się zapala, a ja mówię, że na tysiąc — jeden może wyjechać za granicę.

— Gadanie! A cóż to ja nie widziałem w Warszawie przez tydzień na naszej wełnie siedząc, jak to ludziska żyją w lecie? Aleje Ujazdowskie, wyścigi z jakimś tam totalizatorem czy dyabłem i werenda! i tak dzień w dzień! — A niechby przez dwa lata odkładali to, co na tej werendzie wydają, zaoszczędzali butów, co zdzierają w tym ujazdowskim zaduchu i do tego niechby dodali pieniądze na wyścigi przeznaczone, jak Boga kocham, takby każdemu na podróż do Honolulu nawet wystarczyło!

Pan Stefan nic już nie odpowiedział, znał słabą stronę wuja: na punkcie podróżowania stał się nieomal maniakiem. Całą młodość po świecie przebujał, każdy zakątek ziemi znał. Od czterech lat dopiero osiadł w rodzinnej wiosce, która po śmierci brata, jego stała się własnością. Pracował gorliwie i co prawda mądrze, stwierdzając tem słuszność swoich dowodzeń, że człowiek na szerokim świecie wszystkiego nauczy się najlepiej.

Długą chwilę panowało milczenie: i wuj i siostrzeniec głodni byli, jedli więc, nie przerywając sobie rozmową Dopiero kiedy improwizowany z wiejskiego chłopaka lokajczyk sprzątnął półmiski i przyniósł herbatę; pan Stefan podając wujowi cygara, zapytał:

— No i jakże wujaszek spędził czas w Warszawie?

— At, zwyczajnie, rano ujadałem się z kupcami. potem włóczyłem się po mieście, a wieczorem najczęściej do teatru chodziłem.

Pan Andrzej Wyżyna rozparł się wygodnie w krześle, ramię przerzucił na poręcz, cygaro pociągnął raz i drugi i najobojętniejszym na pozór głosem powiedział:

— Ale, wiesz, widziałem któregoś wieczoru w teatrze twoją ex-narzeczoną.

— Helę? — z radosnem zadziwieniem zawołał pan Stefan.

— Aha!

— Że to ona w Warszawie jeszcze! Jakże wygląda?

— Nic się nie zmieniła — puszczając gęsty kłąb dymu, odparł wujaszek.

— Ona była taka śliczna!

— Nic się nie zmieniła — powtórzył pan Andrzej.

— Trzy lata! kawał czasu! a to, podobno, niezbyt miły towarzysz dla panien! Nie schudła? nie utyła?

— Nie, jakby czas po niej nie przeszedł!

— A ona wuja widziała? W którym to było teatrze?

— Widzisz, to było w Wielkim, dawali „Rycerskość wieśniaczą", nie było biletu do krzeseł, więc wziąłem sobie kupon do loży parterowej, a ona z matką siedziała w krzesłach, zaraz na brzegu, tak, że jej twarzyczkę miałem wprost przed oczami, jak ciebie teraz!

— Widziała wuja?

— Nie. Tak była zapatrzona i zasłuchana w to wszystko co się na scenie działo, że i w stronę mojej loży nie spojrzała nawet.

— Tak, tak.... ona ogromnie lubiła teatr. Siadała sobie wygodnie w krześle, nóżkę za nóżkę założyła, paluszki splatała, na kolanach oparła i patrzyła, patrzyła, patrzyła...

— Tak, onegdaj tak samo! Aże ja znów najlepiej lubię tyłem do sceny się odwrócić i słuchać, nie widząc tych pomalowanych twarzy śpiewaczek, więc patrzyłem sobie na Helę, śledząc wrażenia, jakie na niej śpiew robił...

— Ach! z jej rysów nie trudno wyczytać uczucie! — przerwał wujowi pan Stefan — ma takie wymowne, ogromne oczy, usteczka tak jej drżą, kiedy się wzruszy!

— Otóż to, otóż to! Powiadam ci, kiedy Santuza zaczęła te swoje lamenty wywodzić, wiesz...?

— Wiem, wiem. z Alfiem!

— Tak, właśnie, to Heli tak się oczy jakoś zamgliły, że, byłbym przysiągł, łzami zaszły, twarzyczka się zarumieniła, nawet te paluszki na kolanach splecione .. zadrzały...

Pan Stefan krzyknął.

— To bardzo wzruszająca arya.

— A Dąbrowska ją śpiewa, jak Boga kocham, wspaniale!

— Więc Hela doprawdy tak się nic nie

zmieniła? — płowe wąsy niecierpliwym ruchem muskając, pytał znów pan Borczyński.

— Otóż to, widzisz, ona się niby nie zmieniła, a zmieniła! Na buzi wcale, a tylko trochę wyrazem oczu, ust... bo ja wiem, jak ci to powiedzieć! — trochę jakby posmutniała.

Pan Stefan znów krzyknął.

— To pewnie śpiew ją tak wzruszył; ona była zawsze bardzo wrażliwa!

— Ja też tak sądziłem z początku, ale kiedy po operze przyszła kolej na Zabawę dziecięcą, wcale dobry sobie balecik, bębny pięcio, sześcioletnie tańczą, powiadam ci jak dorośli, z taką gracyą, z taką precyzyą, że jak Boga kocham nie do uwierzenia, szczególniej ta mała Jezierska, czy tam jakoś inaczej się nazywa.

— To co wtedy Hela? — znów przerwał wujowi siostrzeniec.

Pan Wyżyna popatrzył chwilę na młodego człowieka, pociągnął cygaro i uśmiechając się żartobliwie, powiedział:

— Ale cóż ciebie ta Helena obchodzi?

Pan Stefan w pierwszej chwili się zająknął, ale nabrał zaraz rezonu i odparł, ruszając ramionami:

— Mój wujaszku, jak się z kimś całą resztę życia spędzić miało, to i co dziwnego,

że ten ktoś, choć już potem żyje z dala, trochę obchodzi!

— Ano prawda! A ja myślałem, że ty tak może jeszcze troszeczkę... tego...

Pan Stefan gwałtownie szarpnął wąsy, poprawił się na krześle, ale już nic nie odpowiedział

— I o co wam właściwie poszło? bo o ile pamiętam, wyście się ogromnie ku sobie mieli! - spytał pan Andrzej, otrzepując popiół z cygara.

— O co! o co!... naturalnie, że o ważną rzecz poszło!... — wstając z krzesła odrzucił młody człowiek.

Przez chwilę chodził po pokoju, a potem stanął przed wujem i powiedział:

— Ja byłem o nią okropnie zazdrosny, a ona tę zazdrość jakby jeszcze podniecać się starała! Toć człowiek młody ma krew! Cztery miesiące na ślub czekać trzeba było i widzieć, w dodatku, jak się roją w koło niej te gawrony, co to rade, że ich nikt o matrymonie nie posądzi, więc korzystają z towarzystwa ślicznej dziewczyny, od której stronili, kiedy była wolną!... Jeszcze byłoby pół biedy, gdyby ona ich zdaleka od siebie trzymała i na te jawne uwielbienia nie pozwalała; ale ją to bawiło! W dodatku ułożyła sobie

w głowie, że mężczyzna im więcej zazdrosny, tem bardziej kocha.. W końcu nie mogłem już wytrzymać! Pewnego wieczoru, na zebraniu u jej matki, jak się przyczepiła do Władka, tak ani weź! ni z nią pogadać, ni doprosić się aby śpiewała; wlepiła te swoje ogromne oczy w jego głupią twarz i śmiała się z płaskich jego konceptów, taka rada, jakby ją największe szczęście spotkało! Tego było już za wiele! już naprawdę nie mogłem wytrzymać!... Wziąłem ją za rękę, szepnąłem, że coś ważnego mam jej do powiedzenia i wyprowadziłem do drugiego pokoju. A ona tu do mnie: „No mów prędko, bo mi pilno do przerwanej rozmowy wrócić!...

Taka mnie wtedy wściekłość ogarnęła, tak się już wszelka cierpliwość wyczerpała, żem się uniósł okropnie! Nagadałem głupstw, że jest bezmyślną kokietką, że się mizdrzy do każdego i że ją znienawidzę!..

Przy tych słowach pan Stefan tak się rozczerwienił, tak iskrami gniewu sypnęły mu źrenice, jakby na samo wspomnienie ubiegłej chwili, znów go owa wściekłość ogarniała.

— Stefku! ja nie wiedziałem, żeś ty taki gwałtowny! — zawołał pan Wyżyna śmiejąc się z siostrzeńca. — Widzę, że ci

od tych trzech lat krew nie ostygła!—
No, a cóż ona wtedy zrobiła?

— Ona? zbladła straszliwie, pierścionek z palca zdjęła, na marmurowym blacie stoliczka przedemną położyła i chwyciwszy się oburącz za głowę, uciekła z pokoju... Mnie po tem wszystkiem jeszcze bardziej w głowie zaszumiało, zerwałem i ja mój pierścionek z palca, cisnąłem go na ziemię i poleciałem prosto na kolej!

Pan Andrzej wstał z krzesła, zbliżył się do siostrzeńca i rzekł:

— No, to ja ci powiem, że na szerokim świecie dużo takich ważnych przyczyn widziałem, które życie łamały!

Pan Stefan z pod ściągniętych brwi patrzył w otwarte okno, ale, zdaje się, że nic poza niem nie widział.

A wuj tymczasem wyciągnął się na skórzanym szeslągu, wałek perską materyą powleczony pod głowę sobie podłożył i patrzył na podłużne kółka dymu, które ustami puszczał. Od czasu do czasu tylko zerkał w stronę siostrzeńca, uporczywie w okno wpatrzonego.

— Ale posmutniała Hela, bardzo posmutniała! — zaczął jakby do siebie. — Kiedy się zaroiło od tych dzieciaków na scenie, to aż paluszkiem matce niektóre

pokazywała, uśmiechała się na ich widok ale dalibóg, ogromnie smutno, jakby żałośnie. A kiedy się jedno bobo przewróciło, to aż krzyknęła!

— Ona bardzo dzieci lubiła! — półgłosem odezwał się pan Stefan.

— Zdaje się, że w tem lubieniu nie bardzo różniłaby się od ciebie!

— Ja bo tam dziewczynki małe lubię, chłopaków wcale!

— No, ale na jednego synka przecieżbyś się zgodził?

Pan Stefan ruszył niecierpliwie ramionami

— Głupstwa wuj gada i koniec!

— A może być, bo to, widzisz kiedym śpiący, to mi się nie kleji rozmowa!

— Agata pewnie już posłała, jedenasta, możemy iść spać.

— Ano dobrze.

Pan Wyżyna wstał z szeslonga i przeciągnął się. — Ale słuchajno, Stefek! ty nie bywasz u Żabińskiej?

— Nie.

— Szkoda, to miła kobiecina, a zna się na malarstwie, jak Kopernik na astronomii!

— Ba! przy takim sławnym malarzu, jakim był jej mąż, toby się każda żona na malarstwie znała.

— No i pół życia we Włoszech spędziła! Ale dlaczego ty tam nie bywasz? takie blizkie sąsiedztwo.

— Alboż to dla mnie towarzystwo u pani Żabińskiej?! niech się dwie osoby zejdą, a ona trzecia, to już i dwustu lat sięgają!

— Prawda prawda, tam za starzy dla ciebie ludzie bywają. Ale ja widzisz, mój drogi, pojechałbym tam jutro; niedziela człowiek swobodny.

— W takim razie niech wujaszek nie wraca do Marchwic bo ztamtąd przeszło pięć mil do Żabina, tylko niech wujaszek prosto ztąd mojemi końmi pojedzie z wizytą.

— Owszem, dziękuję ci — odpowiedział wujaszek i wszedł do sypialnego pokoju. — A ty co będziesz robił jutro?

— Albo ja wiem! — zapalając świecę, odparł pan Stefan, — może będę siedział w domu, a może do miasteczka pojadę na Bakierze.

— No, to jedź sobie zdrów, a ja przez ten czas pogadam sobie o malarstwie z Żabinią albo pośmieję się z Helą.

— Co?! — zawołał, odwracając się żywo, pan Stefan.

— Ano nie z Helą się pobawię w Ża-

binie. Prawda, zapomniałem ci powiedzieć, że i ona z Żabińską przyjechała.

Pan Wyżyna zamilkł, bo zsunął właśnie but z nogi, ale kiedy długa cholewa z łatwością już pociągnąć się dała, znów zaczął mówić:

· Podobno poznała ją Żabińska gdzieś z wód w zeszłym roku, polubiła dziewczątko no i wyprosiła u matki, aby ją zabrać jej pozwoliła

Tu stary wujaszek ziewnął przeciągle i położył się na łóżko.

- No dobranoc ci, Stefku. — Co to, wychodzisz gdzie?

— Jeszcze wcześnie, nie chce mi się spać, pochodzę po ogrodzie, taka widna noc! Dobranoc wujaszku!

— Ano dobranoc, dobranoc!

Siostrzeniec wyszedł, a wuj, zaciągając kołdrę pod samą brodę, zamruczał:

Oj, wiem ci ja, jak to młodych głupstwa reperować, wiem, nie darmo włóczyłem się po szerokim świecie!

Było już dobrze po północy, kiedy drzwi cicho skrzypnęły, i do sypialni wsunął się pan Stefan.

— Cóż udała się promenada po księżycu?

— Wujaszek nie śpi?

— Jakoś mi w twoich kawalerskich betach nie tęgo idzie!

Pan Stefan zapalił świecę, postawił ją na szafeczce nocnej i usiadł obok wuja na łóżku.

— Wie wujaszek co ja myślę?

— No?

— Możeby tak wypadało złożyć wizytę pani Żabińskiej? zawsze to sąsiedzki obowiązek.

— A pewno

— Tem bardziej, że wiele jestem obowiązany za pomoc przy pożarze zeszłorocznym.

— Kiedy ci się stodoła paliła?

— Właśnie. Ona miała wtedy zwózkę siana, deszcz groził, a mimo to przysłała mi swoje wszystkie fornalki do wożenia wody.

— I cóżeś ty — nie podziękował jej za to? zaraz znać, żem nie był przy tobie!

— Ależ owszem, byłem u niej zaraz na drugi dzień, tylkom jej nie zastał, i na tem się skończyło.

— Więc kiedyżbyś się tam wybrał? na przyszłą niedzielę?

— E nie, może jutro — odpowiedział pan Stefan, poprawiając sobie coś przy wielkiej cholewie buta.

— I owszem i owszem, jedźmy razem!

— z lekkim uśmiechem na ustach odparł wujaszek. — W takim razie, radzę ci, kładź się zaraz spać, abyś jutro ładnie wyglądał, bo Żabina lubi pięknych mężczyzn! Ej Stefku! coś mi nie bardzo pewna ta nasza podróż do Włoch!..., — grożąc palcem z pod kołdry wyjętym, dodał pan Wyżyna.

— Kiedy wujaszek, to Bóg wie co zaraz myśli!

— Ale uchowaj Boże, uchowaj Boże! No dobranoc ci pewnie będziesz śnił o ... Bakierze!

Przy tych słowach wujaszek odwrócił się do ściany. siostrzeniec zgasił świecę i cisza zapanowała w sypialni.

* *
*

— A to pani zna? Giulia-Denza! śliczne!

Panna Hela siedziała przy fortepianie i przerzucała rozłożone na pulpicie nuty. Cały ich stos z Warszawy przywieziony trzymała na kolanach pani Żabińska, zagłębiona w fotelu tuż obok swego gościa.

— Co duszyczko? — zapytała, — Giula - Denza? zdaje mi się, że znam! zagraj parę taktów...

Panna Hela uderzyła w klawisze, nucąc półgłosem melodyę piosenki.

— Znam, znam, znam! ładne, tylko smutne

— Pani takich nie lubi? A ja od jakiegoś czasu — bardzo! — powiedziała panienka, zwracając śliczne piwne oczy na panią Żabińską.

— Nie lubię, nie lubię! A to? — podając gościowi swojemu, inne jakieś nuty spytała staruszka:

Panna Hela przechyliła ciemną główkę i spojrzała na tytuł

- To? Mój kwiatek — Troschla Wesołe! Zaśpiewać!

— Proszę, proszę!

Panna Hela pełnym, dźwięcznym sopranem śpiewać zaczęła, białe paluszki uwijały się po klawiszach, ciemne loczki nad czołem drżały, kolorki żywe wystąpiły jej na policzki, a piosnka płynęła płynęła z otwartych okien żabińskiego salonu w ogród, z ogrodu na pola het aż ku drodze, po której turkotał amerykan parą pięknych kasztanów zaprzężony.

„Jabym ciebie za ten cały wielki nie dał świat!“

Zakończyła panienka ostatnią strofkę piosenki.

— Ślicznie! aniołeczku ślicznie! — z zachwytem zawołała pani Żabińska.

Wzięła w obie dłonie główkę Heli i ucałowała serdecznie jej różową twarzyczkę.

— Ot! niema jak młodość! aż mnie starej zdaje się, lat ubyło. Byle ci się tylko, duszyczko, nie nudziło tu u mnie! do starej mało kto przyjeżdża.

— Ach! pani mnie tu tak dobrze! ja wieś bardzo lubię!

— Po podwieczorku pójdziemy sobie na spacer!

— I opowie mi pani o tych podróżach swoich! dobrze? — wstając od fortepianu zawołała panna Hela.

Podeszła do stołu, na którym w wazoniku stały róże i nachyliwszy się powąchała bukiecik

— Przypnij je sobie do staniczka; na twojej białej sukience ponsowe różyczki ślicznie wyglądać będą!

— A nie pomyśli pani żem kokietka?

— Cóż znowu! zresztą każda kobieta choć trochę kokieteryi mieć powinna, bo inaczej wygląda jak niedokończony obraz!

W tej chwili zaturkotało na dziedzińcu; przed dworek zajechał amerykan.

— Co to? Goście jadą! — zrywając się z fotelu, krzyknęła radośnie pani Żabińska.

Hela spuszczoną właśnie miała główkę, bo zakładała róże za morowy pasek białej sukienki. gdy ją podniosła, już pani Żabińska stała we drzwiach ganku, zasłaniając oczom panienki przybyłych.

— Witam kochanych sąsiadów bardzo serdecznie, bardzo serdecznie! — wołała staruszka dygając raz po raz.

— Pan Andzej Wyżyna pierwszy skoczył z młodzieńczą gracyą na ganek, pocałował w rękę panią domu i rzekł:

— Pani dobrodziejko, co słuszne, to słuszne; ja po przyjeździe zkądkolwiek zawsze do Żabina najpierw jadę! Nie wiem tylko po co ten dzikus ze mną tu przyjechał! jak Boga kocham, tak go nie namawiałem!

Pan Stefan, trzymając popielaty kapelusik w ręku, zbliżył się z powitaniem. Serdecznie uścisnęła go pani Żabińska.

— Dawnom ja szanownego pana pod dachem swoim nie miała, ja też dziękuję bardzo, bardzo dziękuję za przybycie! Helu! — ciągnęła dalej pani domu, zwracając się do stojącej we drzwiach salonu panienki. — Pan Stefan Borczyński, mój najbliższy sąsiad ale najrzadszy gość!

Panna Helena wyciągnęła do przybyłego rączkę, zaczerwieniła się ogromnie

i chciała coś powiedzieć; pan Stefan podaną sobie dłoń ujął, także się zaczerwienił, także chciał coś powiedzieć i — również zamilkł.

— Proszę szanownych gości do salonu! — rzekła pani Żabińska i wprowadziła przybyłych do pokoju. Usiadła na kanapie, obok niej pan Wyżyna, a młodzi zdala od siebie na taboretach.

— Panie Borczyński, przepraszam bardzo za wczorajsze nadużycie pańskich koni, — zaczęła gospodyni – ale pan Wyżyna...

— Ach! pani dobrodziejko! — przerwał jej młody człowiek — niewypowiedzianie wdzięczny jestem wujowi że taką drobnostką pozwolił mi przysłużyć się paniom!

— Prześliczne pańskie kasztanki! ale à-propos malowania, – do pana Wyżyny zwróciwszy się, żywo powiedziała właścicielka Żabina. — nowy obraz przywiozłam sobie z Warszawy! może sąsiad obejrzy?...

— Pewnie jakieś *curiosum*! bo to pani dobrodziejka zna się na obrazach jak sam Rafael!

Pani Żabińska uśmiechnęła się z zadowoleniem, bo wielce była czułą na tego rodzaju komplimenty.

— O, tu nad fortepianem powiesiłam!

Oboje starzy wstali z kanapy i podeszli do obrazu.

Hela tymczasem, schyliwszy główkę, bawiła się listkami róży.

— Pani na długo tu przyjechała? zapytał po chwili pan Stefan.

— Na tydzień, odparła, podnosząc na niego źrenice.

— Tylko?

— Ósmego Lipca wyjeżdżamy z mamą do Iwonicza, najdalej w poniedziałek muszę wrócić

Pan Stefan miał ogromną ochotę przysunąć swój taboret do panny Heli ale się bał, by mu tego za złe nie wzięła, siedział więc tylko zdala i łamał sobie głowę o co by znów zapytać. Co prawda, to pytan miał pełno i w myśli i w sercu, ale wszystkie bardzo niewłaściwe mu się wydały.

-- Mama pani zdrowa? — rzekł po chwili.

— Dziękuję. Na reumatyzm tylko od czasu do czasu narzeka.

— Pamiętam i dawniej na to cierpiała!

Kiedy powiedziawszy to pan Stefan spojrzał na swoją ex-narzeczoną, i ją i jego ogniste oblały rumieńce

— Jak gorąco? — szepnęła panna Helena, chcąc widocznie usprawiedliwić niepożądane kolory.

Pan Stefan toż samo zdanie miał na ustach, ale je wstrzymał, bo starsi zbliżyli się właśnie do kanapy.

— A ja powiadam pani dobrodziejce — siadając za stołem, mówił pan Wyżyna, — że, jak Boga kocham przepłacony!

— Ależ cóż znowu! najwierniejsza kopia Tycyana — obok gościa miejsce zajmując, odparła pani Żabińska.

— Zawsze kopia, dobrodziejko, a ja gwarantuję że za te pieniądze kupiłbym oryginał choćby Michała Anioła!

— Buonarottiego! — z pogardliwem odęciem ust odrzekła pani domu.

— A cóż? potęga! olbrzym!

— Mańkut! — lekceważącym głosem odrzuciła.

— Mańkut, czy nie mańkut, wszystko jedno! A ja pani dobrodziejce mówię, że gdyby Buonarotti, zamiast pędzlem smarować, był poprostu dłutem kuł marmury, to byłby, byłby... no Homerem dla rzeźby.

— A ja powiadam, i mój mąż nieboszczyk to samo powtarzał, że Buonarotti nie na ten świat był przeznaczony, tak, wypadkiem tu się dostał, dla tego do wymiaru ludzkich wrażeń zastosować się nie umiał. A wie sąsiad — ciągnęła dalej staruszka zapalając się — dlaczego on w niczem do szczytu nie doszedł? bo się nie kochał przez całe życie ani razu się nie kochał!

— Ależ dobrodziejko! a Wiktorya Colonna? — oburzył się pan Wyżyna.

— Mój jegomość, w sześćdziesiątym roku życia na świeżą miłość nikt się nie zdobędzie!

Pan Andrzej zaczął się śmiać.

— Kto wie, pani dobrodziejko, kto wie! świat nieraz na opak idzie, ot, naprzykład w tej chwili my starzy o miłości gadamy, a ci młodzi, słyszałem przed chwili reumatyzmem się zajmowali!

— Bo też im weselej będzie na dworze! prawda Heluniu?

— Ach! dobrze! — zrywając się z taboretu, zawołała panienka, — chodźmy na spacer!

— Ale może do lasu? — zaproponował pan Stefan — tam cień i chłodno!

— Ano chodźmy, chodźmy, — sięgając po leżący na fortepianie kapelusz, dorzucił pan Wyżyna

Po chwili całe towarzystwo znalazło sie na drodze do lasu.

Panna Hela otworzyła białą parasolkę i wysunęła się naprzód a pan Stefan niezwłocznie za nią podążył Tu, na powietrzu, wśród zieleni pod błękitem nieba, jakoś śmielej na siebie spojrzeli.

— Co ten wujaszek opowiadał, że ona

nic się nie zmieniła! — myślał sobie młodzieniec — ogromnie wyładniała!

— Jak tu u państwa na wsi prześlicznie, powiedziała panienka.

— A tak, wieś letnią porą o wiele przyjemniejsza od miasta!

— Pewnie że tu lepiej żyć!

— At, co to za życie, wegetacya! — rzekł pan Stefan i pogardliwie ruszył ramionami.

— Pan podobno ogromnie pracuje?

— A cóż mam innego robić? Ale jaki tego wszystkiego cel?...

Panna Hela złożyła prasolkę, bo właśnie do lasu wchodzili, a pan Stefan, korzystając z cieniu, zdjął popielaty kapelusz i przegarnął dłonią jasną czuprynę.

Jak on się opalił! — pomyślała panna Hela! — ale mu z tem bardzo dobrze!

— A pani co robi w domu? — zapytał po chwili milczenia towarzysz.

— Ja? wszystko i nic! — uśmiechnęła się z odrobiną goryczy panienka. — Robię wszystko aby nie czuć długości dnia ale nic, coby choć trochę zadowolenia dało...

Pan Stefan uczuł jak mu się po tych słowach dziwnie błogo zaczyna robić na sercu, to też z wielką czułością spojrzał na nią. Właśnie przechodziła obok jakiegoś

niskiego chojaczka, którego igiełki chwytać poczęły haftowaną falbanę jej sukienki. Panna Hela to spostrzegła i zgarnąwszy fałdy sukni na bok, ręką je uniosła

— Pani parasoleczka przeszkadza! może ją potrzymać? skwapliwie ofiarował się młody człowiek

— Jeżeli pan łaskaw. Las coraz gęstszy, a te krzaczki tak się sukienki czepiają.

Pan Stefan wziął podaną sobie parasolkę i zaczął oglądać. Kościaną jej rączkę ze złotym monogramem znał oddawna.

— Ta parasolka to była dawniej ponsową materyą pokryta! — rzekł półgłosem, jakby do siebie.

Panna Hela udała, że nie słyszy, pobiegła kilka kroków naprzód i zawołała:

— Ach! jak tu dużo poziomek!

— Może pani nazbierać?

I wnet zaczęli zrywać poziomki z długiemi korzonkami i układali z nich bukieciki.

A pan Wyżyna z panią Żabińską, wziąwszy się pod ręce, maszerowali za młodemi, rozprawiając o swych podróżach po Europie

— A pamięta pani dobrodziejka jakeśmy to się zjechali niespodziewanie w Padwie?

— Pamiętam doskonale! Mąż mój nie-

boszczyk miał wtedy studyować padewską szkołę!

— I nie żałował chyba później tych studyów, bo że celował w rysunku, to tylko wzorom tamtejszym winien. Już to co słuszne, to słuszne, pani dobrodziejko, ale że florencka i padewska prym trzymają we wszystkich szkołach włoskich, to każdy przyzna!

— Ależ koloryt! koloryt! oburzyła się pani Żabińska, jakiż one mają koloryt! Ani się umywa do weneckiego!

— Kiedyż to pani dobrodziejka, to zawsze do tej Wenecyi zawrócić musi!

— A jegomość, to znów jakby na daltonizm cierpiał, kolorytu weneckiego ocenić nie potrafi!

— Co mi tam wenecki koloryt! Castagno choć Florenczyk a ma taki sam!

— A niechże mi sąsiad tego zbrodniarza nie wspomina! Ma on koloryt, ma, ale po niego aż zamordowaniem weneckiego Dominika sięgnął! Zdrajca! Judasz!

— Pani dobrodziejko, to i w weneckiej szkole nie sami święci! A Bellini? Za panka się przebierał, kazał portret swój malować Antoniowi, byle w pracowni jego choć parę godzin posiedzieć i wykraść od mistrza tajemnicę barwnego malowania!

Bogiem a prawdą, to ten cały, przez sąsiadkę ubóstwiany koloryt wenecki. podstępnie flandryjskiej szkole zabrany! Ot, co! złodziejstwo poprostu!

— Zawsze co kradzież, to nie mord!

— I to grzech i to grzech!

— Ale nie równy! broniła swego pani Żabińska

— To tam, pani dobrodziejko, Bóg rozsądzi!

— Już rozsądził: Nie zabijaj"! to piąte przykazanie, a „Nie kradnij" to dopiero siódme...

— A! to niby tak idzie *diminuendo*, co do ważności grzechu? Nie wiedziałem, nie wiedziałem!

I pan Wyżyna zaczął się śmiać.

— Ech! ktoby tam z jegomością do ładu doszedł! — oburzyła się pani Żabińska i, wysunąwszy rękę z pod ramienia swego towarzysza, postępowała przez chwilę zdala od niego.

A młodzi tymczasem doszli do skraju lasu. Szeroko roztoczyła się przed nimi ziemia, zamknięta błękitną kopułą sklepienia Na wprost ich oczu za polami zpośród kępy wysokich drzew strzelała w górę biała wieżyczka domu wiejskiego.

— Ach! co to za śliczny dworek! — z zachwytem zawołała panna Hela.

— To Borczyn! — odpowiedział z niekłamaną radością jego właściciel.

Panienka umilkła, ale za to bardzo pilnie pzyglądać się poczęła dworkowi.

I starsi wyszli już z lasu

— Jak tu ztąd nie daleko do pańskiego Borczyna, panie Stefanie! — zagadnęła pani Żabińska.

Pan Stefan nagle skoczył do staruszki, chwycił obie jej ręce, zaczął je całować i między pocałunkami następujące wyrzucał słowa:

— Pani dobrodziejko szanowna!... panie już z godzinę na spacerze... ogromny kawał od Żabina,... mój Borczyn tuż! .. kochana pani dobrodziejko... lepiej do mnie wstąpić... choć na chwilę odpoczynku!.. ja odwiozę potem do Żabina!...

I całował po rękach swoją sąsiadkę tak gorąco, tak błagainie błękitnemi oczyma spoglądał na nią że aż pani Żabińska śmiać się zaczęła.

— A wie pani dobrodziejka. — odezwał się wujaszek — że on ma słuszność. jak Boga kocham! Z powrotem do Żabina daleko! tak przy gawędce przeszło się, ani było czuć — ale wracać z miejsca, dalibóg za daleko!

— Więc zgoda? zgoda? — pytał uszczęśliwiony pan Stefan.

Pani Żabińska pokręciła głową i odpowiedziała:

— Że ten Borczyn brylant między okolicznemi wioskami, a jego właściciel drugi brylant między naszą młodzieżą, wiem ja to oddawna; ale czy nam wypada kawalerowi wizytę składać, tego doprawdy nie wiem!

— Ależ to nie wizyta! — znów do ręki pani Żabińskiej pochylając się, zawołał pan Stefan, — to zupełnie tak, jakby panie do jakiej wiejskiej chałupki na minutkę wypoczynku wstąpiły! Nawet szanowna pani życzyła sobie podobno obejrzeć kiedy mój majątek, owczarnię, stawy, ogród... Mam żniwiarkę zupełnie nowego systemu, z Anglii sprowadzoną. niezmiernie ciekawą, do obejrzenia... To przecież nie wizyta, to tylko chodzenie po bożej ziemi!...

I znów całował pan Stefan ręce staruszki i oczyma najgorętsze zanosił błagania.

— Co tu się długo ceregielować! — dorzucił wujaszek. — Jeżeli wypadało niewieście włóczyć się po całym świecie,

to już kompromitacya wejść na cudzą łąkę!

— Ano prawda! — potwierdziła pani Żabińska, która już oddawna pragnęła zajrzeć do tego sławnego na całą okolicę Borczyna.

Pan Stefan znów rzucił się do ucałołowania ręki.

— To ja naprzód pobiegnę! — z rozpromienioną twarzą zawołał — a państwo będą łaskawi pod lasem iść, bo tędy cień, a potem wujaszek poprowadzi przez mostek, nad stawem i prosto w ogród! Ja pobiegnę polem, bo najbliżej!

Skłonił się szarmancko, spojrzał pierwszy raz prosto w oczy panny Heli i pobiegł ścieżynką wśród złotych zbóż.

— A nie leć tak prędko! Robisz konkurencyę Bakierowi! — zawołał za nim wujaszek.

— A Bakier to kto? — spytała, jakoś bardzo rozweselona panna Hela.

— Bakier? panieneczko! ho, ho! to główna persona w Borczynie! — odpowiedział pan Andrzej. — To jego wierzchowiec! Co prawda wspaniały, anglo-arab! a kłusa ma takiego, że z ekstracugiem bez konfuzyi ścigaćby się mógł! Tylko, że ten Stefek, to go strasznie cecka! Nikomu do

Bakiera przystąpić nie wolno, a broń Boże go dosiąść!

— A on łaskawy, ten Bakier? - piwne oczka na pana Wyżynę podnosząc, pytała panna Hela.

— O łaskawy! z ręki bierze cukier, a za Stefanem, toby tak chodził krok w krok! Łeb położy mu na ramieniu, śliczną szyję wyciągnie i idzie!

Pannie Heli spodobało się to widocznie, bo wsunąwszy rączkę pod ramię pana Wyżyny, znów zapytała:

- No i co więcej ten Bakier?

A Pan Stefan biegł tymczasem przez pole i myślał:

— Co to ona lubi, moja Hela? aha, prawda, poziomki ze śmietaną! Moje kociątko złote. Alem ja ani przypuszczał, żeby to pierwsze spotkanie tak mnie dużo kosztowało! Ale i ona była z początku zmieszana!

„Robię wszystko, aby nie czuć długości dnia“ Biedaczka! dłużyły się jej dni bezemnie! Oho! nie puszczę ich przed kolacyą. Każę Agacie piec kurczęta. Jak to ona ślicznie kurczaki zjadała: brała w różowe paluszki tak zgrabnie i ogryzała kosteczki! I krem śmietankowy z konfiturami każę zrobić! A na podwieczorek

kawa, truskawki, wiśnie, cukierki, aha! prawda! zaraz Pietrka muszę po cukierki posłać, tylko mila do miasteczka!

I biegł pan Stefan coraz prędzej.

Dopadł wreszcie Borczyna i skoczył do kuchni. Agata siedziała przy oknie i koronkę szeptała.

— Agato! trzeba prędko szykować podwieczorek! Goście do nas jadą!

Agata zerwała się na równe nogi.

— Poziomki są?

— Są, prose pana! dziewuchy tylko co zebrały!

— To dobrze, Maryśka i Petronela niech do ogrodu lecą i narwą truskawek, co najpiękniejsze! i wisień i malin! A Agata niech się zwija!

— Migiem prose pana!

Potem pan Stefan wyleciał na dziedziniec.

— Pietrek! — zawołał na cały głos.

Ze stajni wybiegł chłopak.

— Osiodłaj-no sobie Bakiera i leć co tchu do miasteczka! Napiszę ci karteczkę, oddasz ją w cukierni, pan Dziarski da ci pudełko cukierków i duchem wracaj.

Pietrek oczy wytrzeszczył.

— To, prose pana kogo mam osiodłać

— No Bakiera! W pół godziny żebyś był z powrotem!

Pietrek pędem poleciał do stajni.

— Ociec! — krzyknął do siedzącego przy koniach wieśniaka, — panu cosik się zrobiło, kazał na Bakierze za posyłką duchem do miasteczka lecieć!

— O rety! na Bakierze?! A to pewnikiem do japteki? — zawołał stary.

— Ji, gdzie! pan dziś okrutnie na zdrowego wygląda! — odparł Pietrek, siodłając co żywo wierzchowca.

Pan Stefan tymczasem nakrywał z Agatą śnieżnej białości obrusem stół wystawiony na trawnik i uwijał się, wyprzedzając starą sługę w znoszeniu z jadalni talerzy, cukru, serwetek.

— A dziewuchy niech tam i liści narwą do przystrojenia koszyków z owocami.

— Już narwały - odpowiedziała Agata stawiając na stole tacę ze szklankami.

— Jakób, Jakób! — zawołał nagle pan Stefan, ujrzawszy z daleka starego ogrodnika. — Niech-no Jakób ułoży w tej chwili piękny bukiet! – mówił do zbliżającego się. — Ale z samych róż, rozumie Jakób? z samych róż!

— No rozumiem.

— Ale żeby nie była taka piramida, jak zwykle, tylko lekko wiązankę ułożyć. Ale niech Jakób nic nie wtyka.

— No rozumiem.

— Żeby były same róże!

— A trochę lilii można? — spytał ogrodnik, który jedynie do mieszanych bukierów miał przekonanie.

— Żadnych lilii; same róże!

— No rozumiem

Pociągając nogami odszedł stary Jakób, ale w głowę się skrobał, bo nie mógł sobie wyobrazić, jakto ten bukiet z samych róż wyglądać będzie.

Pan Stefan skoczył jeszcze do stajni, sprawdzić czy Pietrek już wyjechał, kazał drugiemu stajennemu do Żabina pobiedz i sprowadzić pozostały tam amerykan; następnie do sypialni swej na chwilę jeszcze wpadł, czuprynę podczesał, oczyścił zakurzone cokolwiek ubranie, w lustrze się przejrzał, wąsiki zakręcił i znów do ogrodu pobiegł.

Stół już był zastawiony koszyczkami owoców, ciastem, talerzyki malowane na czterech stronach stołu symetrycznie poustawiane były, a w pośrodku wznosił się w kryształowym wazonie bukiet róż, z pomiędzy których lewkonie, jakby zawsty-

dzone swą obecnością, nieśmiało wychylały główki Ale pan Stefan już tego nie spostrzegł, bo właśnie w bramie ogrodu ukazali się wyczekiwani goście.

Młody gospodarz skoczył co żywo i, podawszy ostentacyjnie ramię pani Żabińskiej, rzekł:

— Pani dobrodziejko! mój Borczyn do końca świata nie zapomni takiego zaszczytu!

— A pewno, że wielki zaszczyt, takich gości przyjmować! - odezwał się pan Wyżyna. — Ja, choć już sześćdziesiąty pierwszy rok zacząłem, alem takiego honoru nie dostąpił!

— Bo wujaszek może prosić nie umiał — prowadząc panią Żabińską do stołu, zażartował siostrzeniec.

— At, prosić prosiłem; chociaż ja zawsze zdaleka się od kobiet trzymałem; nie chciałem pana Boga obrażać!

— Albożto obraza boska mój jegomość! — oburzyła się pani Żabińska. — Toć Adamowi i raju było za mało, póki Ewy nie dostał!

— Racya, pani dobrodziejko, racya, tylko, że miał z nią później strasznie dużo ambarasu...

Pan Stefan usadowił swych gości przy stole, podawał, częstował, przysuwał, chciał

jak można najuprzejmiejszym pokazać się gospodarzem.

— Ale pan to nic nie je! — zauważyła panna Hela.

— A co mi pani da? — podsuwając panience swój talerz, zapytał młody człowiek.

— To, co pan najlepiej lubi! — odpowiedziała i sięgnęła po koszyczek z truskawkami.

Płowe wąsiki pana Stefana zadrżały w uśmiechu.

— A cukru, to jak ja lubię do truskawek? — zapytał, śmiało spoglądając w oczy swej sąsiadce.

— O! cukru, to dużo, bez miary! — zaśmiała się panienka i na wybrane własnoręcznie truskawki sypała istotnie dużo, dużo cukru, przebierając białemi paluszkami po srebrnej łyżeczce.

— Widzi pani dobrodziejka, jak oni tam sobie godność świadczą? — zauważył pan Wyżyna, wskazując młodą parę. — Kiedy tak, to i ja na tym końcu stołu będę gospodarzył i doleję szanownej sąsiadce kawy, dobrze?

I tak zabawiali się i gawędzili goście pana Stefana nie zwracając nawet uwagi, że słońce płynie i płynie po niebie, coraz większe, coraz czerwieńsze.

Pietrek wrócił z ogromnem pudłem cukierków, a wtedy i Bakier musiał się gościom przedstawić, tyko o jego wycieczce do miasteczka, zakazał pan Stefan Pietrkowi wspominać.

Anglo-arab, jakby domyślając się, że tu o popis chodzi, wygiął kształtną czarną szyję, ogon odsadził i stąpał za swoim panem z taką gracyą, jak baletniczka po scenie.

A panna Hela pasła wierzchowca cukierkami, gładziła jego lśniącą, długą szyję, aż konik zarżał wesoło...

Potem pan Stefan zaproponował swym gościom przejażdżkę po stawie.

Znakomicie umiał on wiosłować; zielona łódeczka, w łabędzią wygiętą szyjkę mknęła długo po szklistych wodach borczyńskiego stawu, od równych uderzeń wiosła woda falowała, niby łyska srebrzysta. Aż księżyc w końcu wypłynął z lasu i przypomniał panu Stefanowi, że tam kolacya pewnie już gotowa.

Przybito do brzegu, i znów zasiedli wszyscy w około stołu, na którym okazały się kurczęta, a po nich krem śmietankowy z konfiturami.

— No panie Stefanie! — podnosząc się od stołu i dziękując gosodarzowi, rzekła

pani Żabińska — nam już do domu czas. Bardzo się jakoś ta minutka wypoczynku w wiejskiej chałupce przeciągnęła!

— Pani dobrodziejko, już zakładają do wolanta!

Wszyscy wstali.

Z boku na trawniku wznosiła się kręgielnia. Na drewnianej podstawie w ziemię wbitej, stało dziewięć dużych kręgli, między którymi dominował w pośrodku król z koroną na okrągłej głowie. Wielka drewniana kula wisiała na długim sznurze, przyczepionym do zielonego słupa.

Pan Wyżyna podszedł do kręgielni.

— No, panno Helu! Kto od jednego uderzenia więcej kręgli przewróci?

— Pewno ja! — rezolutnie zawołała panienka.

— Ej że — przekomarzał się wujaszek — o zakład!

— Dobrze!

— Jeśli panna Hela wygra, to obok mnie w wolancie siedzieć będzie, ale jak przegra, to... obok Stefka na koźle!

— Zgoda! zgoda! — zawołał pan Stefan, nim jeszcze panna Hela słowo wymówić zdążyła.

Wujaszek ujął w obie dłonie kulę zamierzył się raz i drugi, na palce się

wspiął i z całej siły huknął w kręgle

Król i siedem pachołków potoczyło się po murawie.

— Ach! jak dużo! — krzyknęła Hela.

— No panieneczka teraz wszyskie zmieść musi! — zaśmiał się zadowolony ze swego rzutu pan Andrzej.

— O zmiotę!

Pan Stefan poustawiał rozrzucone kręgle na drewnianej podstawie, a wujaszek podał tymczasem kulę swej przeciwniczce

Hela odsunęła się od słupka i przez chwilę mierzyła okiem odległość pionów.

— Niech pani kulą szerokie koło zatoczy! — upominał pan Stefan

Panienka niebacznie posłuchała podstępnej rady i takie szerokie koło kulą zakreśliła że ani jeden kręgiel nie upadł.

— Aha! przegrała panna Helunia! przegrała! za karę na koźle siedzieć będzie! — tryumfował wujaszek

— To pan Stefan winien, że tak źle poradził!

— Można było nie słuchać! — zauważyła pani Żabińska. — Ale my z panem Wyżyną dobrze na tem wyjdziemy; będzie nam wygodniej siedzieć

W tej chwili przed kręgielnię zajechał wolant, parą kasztanów zaprzężony.

Pan Stefan wskoczył na kozioł i wziął lejce z rąk Pietrka, a wujaszek usadowiwszy wygodnie panią Żabińską, w głębi wolantu, pomógł pannie Heli dostać się na kozioł.

— Jak to można było tak źle mi poradzić! — powiedziała panienka, gdy już miejsce obok pana Stefana zajęła

— Ja w Żabinie pięknie za to przeproszę, dobrze? — ruszając z miejsca odpowiedział woźnica.

— Stefan! a nie wywróć tam! — z głębi wolantu upominał pan Wyżyna.

— Niech się wujaszek nie boi!

Wyjechano za bramę.

— Jakie śliczne te pańskie kasztanki!

— Ale prawy zgrabniejszy, uważa pani?

Panna Hela nic nie zauważyła, ale powiedziała: A prawda! — a potem podniosła główkę i patrzyła w niebo.

Na ciemnym szafirze migotały gwiazdki, nie liczne ale jasne, a księżyc już bardzo bliski pełni, wprost przed oczyma jej tak świecił, że od drzew aż cienie na ziemię się kładły.

— Jaka śliczna noc! — rzekła.

— Śliczna noc po ślicznym dniu! — odpowiedział pan Stefan i dodał: — Mój Borczyn to takiego dnia nie miał!

Panna Hela uśmiechnęła się.

— A właściciel Borczyna miał kiedy taki dzień?

— O miał! I nie jeden i lepszy...

— A co tam było lepszego? — pytała panienka.

— Co było lepszego? Ha! to było lepsze, że się wiedziało, iż taki sam dobry dzień będzie jutro i za tydzień... a za parę miesięcy — jeszcze lepszy, i potem to już tak przez całe życie...

Zamilkli, kasztany tylko parskały, a księżyc świecił tak jasno, że się aż srebrzyło w około.

— I co tam jeszcze było lepszego? — odezwał się znów głos panienki.

— Co było lepszego? Ot to było lepsze, że jak się poprosiło o takie różyczki, co przez cały dzień za paseczkiem zasunięte były, to się je w końcu dostało... i nie mówiło się wtedy tak, jak do każdej obcej osoby, tylko inaczej... tak króciutko... dwiema sylabami...

Znów zapanowała chwilowa cisza, aż ją głos męski przerwał.

— A pani miała jaki dobry dzień w tych trzech latach?

— Ani jednego!

— A przedtem były dobre?
— O były!
— A który był najlepszy?
— Przedostatni!
Teraz z kolei pan Stefan się uśmiechnął.
— A ostatni, to który?
— Ostatni, to był zły, zły... Tak płakałam... tak było potem ciężko!...
— A mnie to niebyło ciężko?
Westchnęli oboje i czas jakiś jechali w milczeniu. Wreszcie pan Stefan zapytał:
— Co pani śpiewała nim myśmy przyjechali?
— „Mój kwiatek."
— Ach! to: — „W pączku róży tyś poczęta?"
— Tak. Pan to zna?
— O doskonale!
— „Jabym ciebie za ten wielki nie dał świat!"
— A jednak pan oddał i w dodatku powiedział, że nienawidzi... — bardzo cichutko wymówiła panienka.
Pan Stefan szybkim ruchem zgarnął lejce w jedną rękę, a wolnem ramieniem drugiej objął kibić swej sąsiadki i pochyliwszy się nad nią, zaczął szeptać namiętnie:

— Tak! nienawidzę! nienawidzę moją Helę kiedy daleko odemnie! nienawidzę jej usteczka, gdy nie do mnie mówią! nienawidzę wszystkie uderzenia jej serduszka, co nie dla mnie biją!.. I oddałbym resztę życia... cały wielki świat... byle mi Helę wrócono...

-- Stefek! a niewywróć tam! Co kasztany tak nierówno idą?

Pan Stefan w tej chwili nie mógł się odezwać, bo miał usta przyciśnięte do rączki panny Heli.

— Niech się wujaszek nie boi! — odpowiedziała za niego panienka.

I w istocie nie było się czego obawiać, bo właśnie kasztanki stanęły przed dworkiem Żabina.

Ale panowie nie zaraz powrócili do domu, jeszcze wypili herbatę w Żabinie. Pan Wyżyna z panią Żabińską, usadowiwszy się wygodnie na kanapie, spierali się z godzinę, która szkoła więcej warta, czy florencka czy wenecka. Panna Hela grała, śpiewała, a pan Stefan już bez żadnej obawy przysuwał tak blizko swój taboret, że niekiedy dotykał nim białej sukienki swej sąsiadki.

Późna już była noc, kiedy znów na drodze zaturkotały koła wolantu. Pan Wyżyna drzemał, a siostrzeniec jego od czasu do czasu spoglądał na bukiecik zwiędłych różyczek, co mu sterczały na klapie żakietu, i uśmiechał się radośnie do księżyca.

Dopiero, kiedy byli bardzo już blizko domu, pan Stefan zawołał:

— Wujaszku! Niech sobie wujaszek z Żabińską pojedzie do Włoch!

— Zwarjowałeś, czy co? — z drzemki nagle obudzony burknął pan Wyżyna.

— Nie! Tylko ja się żenię! — krzyknął na cały głos pan Stefan i, trzasnąwszy z bata, wjechał w bramę Borczyna.

OGŁOSZENIA.

STACHIEWICZA i ABRYSOWSKIEGO we Lwowie Rynek l. 32
Magazyn towarów bławatnych i płócien

Magazyn towarów bławatnych i płócien
Stachiewicza i Abrysowskiego Lwów Rynek l. 32

TADEUSZ OKORNICKI

MAGAZYN PORCELANY i SZKŁA

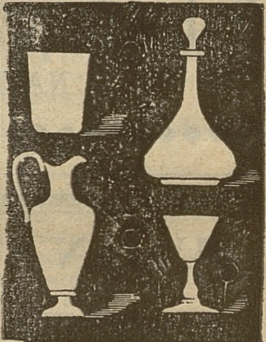
we Lwowie, ul. Halicka l. 4,

polecą po możliwie najniższych cenach

w wielkim wyborze

z pierwszorzędnych fabryk czeskich, francuz. i saskich





kompletne Serwisy stołowe i herbaciane

Garnitury do umywalni

SERWISY

ze szkła grawerowanego, gładkiego i rzniętego

FAJANSE ANGIELSKIE

Próbki czyli wzory porcelany stołowej

wysełam pocztą do wyboru

Wielka Wypożyczalnia naczynia stołowego

Także noże, widelce, łyżki i łyżeczki
z chińskiego srebra.


MAURYCY
BOSCOWITZ
OPTYK i MECHANIK
we LWOWIE PL. MARYACKI
URZADZA
NAJLEPSZE i NAJTANSZE
DZWONKI ELEKTRYCZNE
TELEFONY i GROMOCHRONY
POSYŁA SWOICH WYUCZONYCH
MONTERÓW NA PROWINCYE
KOSZTORYSY BEZPŁATNIE



MAGAZYN i PRACOWNIA
OBUWIA

damskiego, męskiego i dziecinnego

KAROLA

JAWORSKIEGO

we Lwowie przy ul. Batorego l. 20,

w Hotelu Szwajcarskim.

Składając dzięki Szanownej Publiczności za zaufanie, staraniem mojem będzie i nadal na takowe sobie zasłużyć tak co do wyboru materyału jak i wykonania każdej powierzonej mi roboty — za które pobieram ceny jak najumiarkowańsze.

Z poważaniem

Karol Jaworski

ulica Batorego l. 20.

2*



Najnowsze krawatki, kołnierze i manszety

Na zimę! bawełniane, wełniane i jedwabne trykotowe towary oraz wybór pledów.

Skład komisowy normalnej Jaegera **BIELIZNY** oraz czysto lnianej trykotowej bielizny ks. proboszcza Seb. **KNEIPPA**

Płótna, stołową bieliznę
i gotową bieliznę dla mężczyzn,
pończochy, skarpetki,
także pończoszki dla dzieci.
Deszczochrony i najnowsze krawatki,

poleca
HANDEL
F. S. Bardasza
we Lwowie
vis-a-vis kościoła Katedralnego.
Ceny fabryczne.

Wełniane, angielskie kamizelki z rękawami, pończochy myśliwskie, jedwabne chustki (Cachenez).

Płaszcze, Prześcieradła i Ręczniki kąpielowe

Stanisław Wojtyński

blacharz we Lwowie

ma zaszczyt polecić Sz Publiczności swój **Sklep i Pracownię wyrobów blacharskich przy ulicy Akademickiej hotel Żorża**

przyjmuje

roboty dachowe tak nowe jak i reperacye w zawód blacharski wchodzące, które dobrze i w najkrótszym czasie wykonuje.

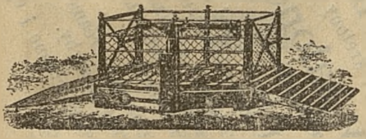
Wszelkie zamówienia tak miejscowe jak z prowincyi uskutecznia szybko i rzetelnie po cenach najtańszych.

C. k. uprzyw.

ŚLUSARNIA
ARTYSTYCZNA i BUDOWLANA
oraz FABRYKA WAG
J. STANKIEWICZA

we Lwowie ul. Franciszkańska l. 11.

poleca P. T. Publiczności.



Wykonuje wszelkie roboty artystyczne z kutego żelaza: balkony, balustrady, porecze schodowe kraty ozdobne sztachety ogrodowe, bramy, pająki, lampy wiszące, latarnie; wszelkie roboty budowlane, okucia do bram, drzwi i okien według najnowszych modeli; wykonuje konstrukcye żelazne, jako to: dachy, schody, werandy, altany, stragany, wyciągi i wszelkie inne w ten zakres wchodzące według żądania lub rysunków. Ogradza plantacye lub klomby słupkami żelaznymi. Wyrabia meble żelazne ogrodowe i ma takowe na składzie, patentowane krzesła i stoły wycieczkowe, automatyczne krzesła, ławki ogrodowe itd. Wyrabia lararnie grobowe, sztachety do nadgrobków z żelaza kutego i ma takowe na składzie. Wszelkie zamówienia tak w miejscu jak i z prowincyi uskutecznia w jak najkrótszym czasie.

Wykonuje wszelkie wagi dziesiętne i setne według najnowszych konstrukcyi, począwszy od 25 kg. i wyżej i ma takowe na składzie; wagi do magazynów kolejowych i gepeków do zarządów dóbr do ważenia zboża, bydła, z poręczami żelaznemi, dziesiętne, setne, skalowe, do ważenia za pomocą ciężarka do przesuwania i z aparatem kontrolującym Wagi mostowe do ważenia wozów i wagonów kolejowych do 50.000 kg. Wagi automatyczne do ważenia osób, automatyczne siłomierze do próbowania lub ważenia siły. Wagi precyzyjne ściśle do aptek, do ważenia złota i innych drogich rzeczy. Wagi handlowe, stołowe na postumentach, balansowe, krzyżowe, kantary i t. d. Przyjmuje wszelkie reperacye tak w miejscu jak i na prowincyi. Zamówienia uskutecznia w jak najkrótszym czasie.

Kreślę się z szacunkiem *J. STANKIEWICZ.*

Gwarancya jednoroczna.


ZAKŁAD ARTYSTYCZNO FOTOGRAFICZNY
E. TRZEMESKI
WE LWOWIE
UL. TRZECIEGO MAJA 7
WYKONUJE
FOTOGRAFIE
PORTRETOWE
Z POŁYSKIEM
PLATYNOWE
POWIĘKSZENIA
I REPRODUKCYE
Z KAZDEJ FOTOGRAFII OBRAZU I T. P.
MH

Pracownia 



UBRAN



DAMSKICH

FERDYNANDA

GÓRALSKIEGO



we Lwowie



Wałowa l. 11. II. piętro.



Ma zaszczyt zawiadomić szanowną P. T. Publiczność, że w owej pracowni wykonuje ubrania t. j. kostiumy, suknie wizytowe, weselne, kompletne **amazonki fasonem angielskim**, zarzutki, surduciki, rotondy, płaszcze, wierzchy na futra, wraz z podszyciem futrem; wszystkie wyżej wymienione ubrania przyjmuje na zamówienie z własnego materyału, po umiarkowanych cenach. Na zamówienie powyższych ubrań wystarcza, nadesłanie dogodnego stanika na miarę.

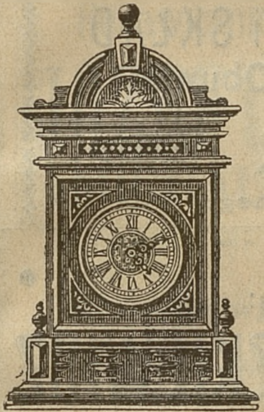
Udziela także

NAUKĘ KROJU SZYCIA

z zastosowaniem najpraktyczniejszej metody zdobytej długoletnią praktyką w zawodzie krawiectwa damskiego. Wszelkiego rodzaju kroje dla dorosłych i dzieci, tak dziewczątek jak i chłopczyków, można się dokładnie nauczyć w 26 Lekcyach, za wynagrodzeniem 10 złr., za wyżej wymieniony kurs. Książki rysunkowe z miarą redukcyjną i objaśnienia kosztują 3 zł. 20 ct. Linijki, które ułatwiają i przyspieszają naukę, mogą być dowolnie nabyte za cenę 1 złr. 30 ct.

POLECA SIĘ

Skład zegarków genewskich



i zegarów pendułowych
w najgustowniejszych fasonach i
w najlepszych gatunkach
po cenach najtańszych

pod firmą:

KONRAD SCHNEIKART

we Lwowie,

przy ulicy Wałowej l 7, obok handlu Wgo K Bałłabana.

Wszelkie naprawy wykonuje jak najdokładniej i najtaniej pod sumienną gwarancyą.

Założona w roku 1871.

Cukiernia i Fabryka Czekolady
we Lwowie, ul. Hetmańska 6 i ul Akademicka 14
pod firmą;

FERDYNAND GROS

dawniej **F. Gros i W. Strus**

poleca obficie zaopatrzone składy cukrów deserowych najlepszej jakości, Owoców i Konfitur krajowych i francuskich, Czekolade w tabliczkach i proszkowana do gotowania, Czekoladki deserowe zawsze świeże i po możliwie niskich cenach.

Na zamówienia wykonuje sie wszelkie TORTY, PIRAMIDY, MARCEPANY, LODY WYSTAWNE, GALARETY, BLAMANGE i t. p.

Zamówienia z prowincyi uskutecznia sie z najwiekszą starannością i punktualnością.

Wielki wybór bombonierek paryskich i kartonaży najświeższych modeli

Założona w roku 1871.

Założona w roku 1871.

Założona w roku 1871.

